

ISSN 0867-8952

NR 11(287) LISTOPAD 2014

KOMBATANT



Biuletyn Urzędu
do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych



Pamięć
o nieobecnych



Pomnik nagrobny. Lwów, cmentarz Łyczakowski
FOT. PIOTR SULEK/UDSKIOR

BIULETYN URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Redakcja

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
e-mail: kombatant@udskior.gov.pl

redaktor naczelny: Piotr Sulek
tel. (22) 661 89 22
e-mail: piotr.sulek@udskior.gov.pl

Katarzyna Zientara-Majewski
tel. (22) 661 84 23
e-mail: katarzyna.zientara@udskior.gov.pl

Współpracują:

Franciszka Gryko, Jan P. Sobolewski,
współpraca fotoreporterska: Alina Nowacka

Redakcja tekstów: Wojciech Lewicki
Korekta: Dariusz Saracyn

Archiwalne numery „Kombatanta”
dostępne są na stronie www.udskior.gov.pl



Partnerem Projektu
jest Narodowe Archiwum
Cyfrowe

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
centrala tel. (22) 661 81 11
punkt informacyjny tel. (22) 661 81 29
(22) 661 87 06, www.udskior.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Druk: TOPDRUK Sp. z o.o.
ul. Nowogrodzka 151a, 18-400 Łomża

Nakład: 4200 egz.



w numerze

**3 Irredenty krakowskiej
portret własny**
Maciej Gelberg

**8 Koncert z okazji 70. rocznicy
Powstania Warszawskiego**

10 Papierowa wojna
Wojciech Lewicki

**15 „Operacja łódzka” – pierwszy
Blitzkrieg na froncie wschodnim**
Waldemar Kowalski

20 Bratanki
Jan P. Sobolewski, Jan Sroka,
Piotr Sulek

24 Żywot człowieka gwałtownego
Marcin Śmietanka

26 ORSZA 1514 – zapomniana wiktoria?
Hieronim Grała



FOT. WOJCIECH LEWICKI

Pod koniec lat 30. do wojny mobilizowało się nie tylko wojsko – co naturalne i z czego wszyscy zdają sobie sprawę – ale i Bank Polski, co już nie jest takie oczywiste. Podczas gdy nasza armia od początku września 1939 r. była w głębokiej defensywie, bank centralny – w natarciu. W konfrontacji z Niemcami osiągnął on spore sukcesy, zmuszając nawet przeciwnika do „działań obronnych” – korekty wcześniejszych planów monetarnych i stworzenia nowej waluty na terenach okupowanych.

Przed stuleciem mieszkańcy ziemi łódzkiej byli świadkami jednej z największych operacji manewrowych w czasie I wojny światowej, uważanej za pierwszy Blitzkrieg na froncie wschodnim. Naprzeciw siebie stanęły wówczas potężne armie – ponad 600 tys. żołnierzy różnej narodowości, także polskiej. Od 11 listopada do 6 grudnia 1914 r., w ciągu niespełna czterech tygodni, co trzeci z walczących poległ w boju.

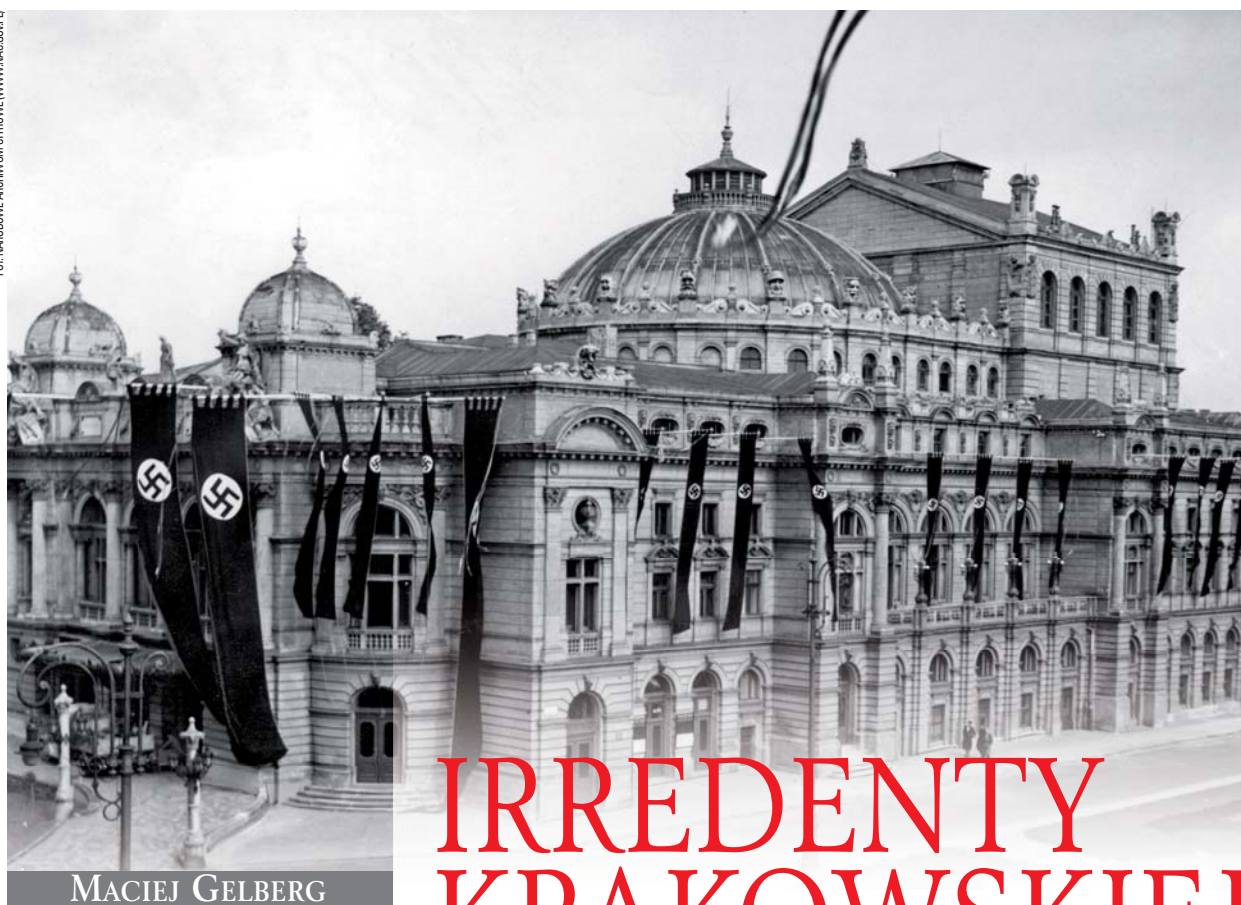


FOT. FOTOPOLSKA.EU

K O L P O R T A Ż

Kolportaż: Tomasz Nejmanowski,
tomasz.nejmanowski@udskior.gov.pl, tel. (22) 661 86 67

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian i skrótów w nadsyłanych materiałach. Materiały powinny być podpisane pełnym imieniem i nazwiskiem autora tekstu i zdjęcia oraz zawierać jego prywatny adres i telefon kontaktowy, a także krótką notkę o autorze tekstu. W miarę możliwości prosimy o dostarczanie tekstów i materiałów graficznych (zdjęcia o rozdzielczości 300 dpi) w wersji elektronicznej (na CD lub pocztą elektroniczną). Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Rubryka *Poszukujemy* jest bezpłatna.



MACIEJ GELBERG

IRREDENTY KRAKOWSKIEJ PORTRET WŁASNY

Przez lata, szczególnie w okresie PRL-u, panowało przekonanie, że w czasie okupacji niemieckiej głównie w Warszawie walczone o Polskę, konspirowano, przeprowadzono zamachy i inne akcje dywersyjne. Wydawano prasę podziemną, organizowano tajne nauczanie – jednym słowem: mimo klęski wrześniowej stolica nie poddała się i czekała na właściwy moment, by chwycić za broń. Kulminacją tych działań było Powstanie Warszawskie. A co z Krakowem?

Kraków miasto uprzywilejowane?

Władzom komunistycznym zależało, by antagonizować społeczeństwo, a w szczególności przeciwstawić ludności konserwatywnego Krakowa mieszkańców podatnej na zbiorowe szaleństwo stolicy. Stąd starano się ugruntować przekonanie, że pod Wawelem nie chciano walczyć, a pod-

Blisko 200 tys. zabitych i rannych. Setki tysięcy wypędzonych, skazanych na gehennę obozów i przymusowej pracy. A miasto praktycznie przestało istnieć. Taki był tragiczny bilans Powstania Warszawskiego. Czy podobny los mógł spotkać Kraków?

„ We wrześniu 1939 r. powołano w Krakowie Tajną Organizację Wojskową – „Związek Orła Białego”. Była to jedna z pierwszych struktur konspiracyjnych w kraju

ziemie było słabe, nieliczne, bierne, a nawet tchórzliwe. Swoje zrobiła też żywa, obustronna niechęć mieszkańców obu miast, wzmocniona jeszcze przez złe doświadczenia uchodźców

Powstania Warszawskiego, którzy w Krakowie, szczególnie na początku, w wielu przypadkach trafili na nieufność i niewystarczającą pomoc.

Wielu sarkastycznie zauważało (w sposób krzywdzący i nie do końca prawdziwy), że krakusom – w porównaniu z resztą kraju – pod okupacją nie żyło się tak źle. Rzeczywiście, Kraków jako stolica Generalnego Gubernatorstwa był traktowany przez Niemców w pewien uprzywilejowany sposób. Nie chodziło tu jednak o los i byt Polaków.

Niemcy chcieli mieć w Krakowie Norymbergę Wschodu, nowe miasto Veita Stossa. Hans Frank miał

ambicję, by było to nie tylko miejsce schludne i zadbane. Z czasem planował stworzyć tu znaczący ośrodek nauki i kultury niemieckiej. By to osiągnąć, niezbędne stało się powiększenie granic Krakowa, ograniczenie chaotycznej rozbudowy i stworzenie kolejnych inwestycji. Powstały więc: nowa zachodnia dzielnica, nowe linie kolejowe, drogi, pasy zieleni, linie wodociągowe i kanalizacyjne. Remontowano stare budynki, wznoszono gmachy publiczne, obiekty usługowe, garaże, magazyny, budynki mieszkalne. W innych miastach, np. w Warszawie, było to nie do pomyslenia.

Na tych inwestycjach mimochodem korzystali też mieszkańcy Krakowa. Ponieważ niemieccy robotnicy znajdowali się na frontach: wschodnim bądź zachodnim, a Polacy byli na miejscu, więc siłą rzeczy to oni podejmowali pracę. Dlatego polskie firmy budowlane, podobnie jak budowlany przemysł, znakomicie w tym czasie prosperowały. Nie najgorsze, jak na owe czasy, były także zarobki. Budziło to niezdrowe emocje w innych częściach okupowanej Polski.

Niemcy stworzyli też pewne instytucje, które w pierwotnym założeniu miały służyć wyłącznie im, jak filharmonia. Z czasem – szczególnie pod koniec wojny – kiedy kłęśka III Rzeszy stała się coraz bardziej realna i Hans Frank zaczął prowadzić z nami specyficzną grę na zasadzie kija i marchewki, stała się ona dostępna również dla Polaków. W tej jednej z najlepszych orkiestr Europy grali wówczas znakomici polscy muzycy. Znamienne, że krakowskie podziemie nie potępiło ich, podobnie jak nie potępiono chodzącej na koncerty polskiej publiczności.

Polska publiczność bywała także w Teatrze Słowackiego, który w wrześniu 1940 r. przemianowano na Państwowy Teatr Generalnej Guberni, ale również w sześciu krakowskich kinach. Nie skutkowały hasła typu: „Tylko świnie siedzą w kinie,



Defilada żołnierzy SS i policji na pl. Adolfa Hitlera (Rynek Główny) w Krakowie w pierwszą rocznicę utworzenia Generalnego Gubernatorstwa, październik 1940 r. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

a bogatsze w teatrze” ani ostrzeżenia, że z tego powodu można być narażonym na pewne przykrości. Ludzie chcieli choć na chwilę wyjść z domu i oderwać się od rzeczywistości.

Konspiracja pod Wawelem

Czy to znaczy, że krakusi pogodzili się z kłęską wrześniową i starając się przetrwać, nie prowadzili praktycznie żadnych działań podziemnych? To oczywiście nieprawda. Krakowowi nie można zarzucić bierności – był drugim po Warszawie ośrodkiem konspiracji wojskowej i cywilnej.

Już we wrześniu 1939 r. powołano w Krakowie Tajną Organizację Wojskową – „Związek Orła Białe-

go”. Była to jedna z pierwszych struktur konspiracyjnych w kraju. Później zaczęło się pod Wawelem kształtować podziemie partyjne i cywilne, przeobrażając się często w nowe struktury wojskowe.

Szybko władze powstałego w listopadzie 1939 r. Związku Walki Zbrojnej opracowały zarys planu przyszłego powstania powszechnego. Obejmował on m.in. wyzwolenie Krakowa. Jak zauważa prof. Andrzej Chwalba w książce „Dzieje Krakowa. Kraków w latach 1939–1945”, pierwotne plany zakładały wywołanie powstania już wiosną 1940 r. Bolesław Skulicz, późniejszy dowódca II batalionu „Żelbetu” Armii Krajowej, tak to sobie wyobrażał:

– zdobędziemy przez zaskoczenie broń na nieprzyjaciela, lotniska zostaną opanowane przez samoloty alianckie i rozgorzeje walka na tyłach zdeorientowanych Niemców. Wolny od okupanta Kraków miał się stać jedną z głównych baz, w których odtwarzałyby się armia polska.

W 1943 r., zgodnie z przyjętym przez KG AK projektem, Kraków został objęty planem „Burza”, jednakże o szczegółach miał decydować rozwój sytuacji. W drugiej połowie roku przewidywano m.in. desant

1944 r. KG AK zaleciła „Muzeum”, czyli Okręgowi Krakowskiemu, rozpoczęcie pilnych przygotowań do walki powstańczej. Plan przewidywał 70 głównych celów ataku w mieście. Niestety, rychle aresztowania utrudniły przygotowania. Czy jednak były one realne?

Pewne jest, że liczne wyspy w środowisku krakowskim były istotnym problemem. Okazało się, że Niemcy, szczególnie na początku okupacji, stosunkowo łatwo przenikali w głąb struktur lokalnego podziemia. Bra-

się znali, trudno było o anonimowość, a jak twierdził Jan Pasiński, jeden z pierwszych krakowskich konspiratorów, metody ówczesnej roboty były wręcz naiwne. Z czasem to się poprawiło, ale mimo wszystko Gestapo głęboko przeniknęło w struktury akowskie pod Wawelem. Niemcy przechwycili m.in. materiały z dokładnymi planami Armii Krajowej dotyczącymi powstania w Krakowie, zawierającymi precyzyjne informacje o tym, kto i co ma opanować i na kogo uderzyć. O jakimkolwiek zaskoczeniu w momencie rozpoczęcia walk nie byłoby więc mowy.

Ale mimo tych trudności podziemie krakowskie mogło pochwalić się wieloma spektakularnymi akcjami. Najważniejszą z nich było wysadzenie pod Grotkowicami pociągu, którym Hans Frank jechał do Lwowa na uroczystości związane z rocznicą objęcia władzy przez Hitlera. Choć ta próba zamachu na generalnego gubernatora zakończyła się niepowodzeniem, to świadczyła o ogromnym poświęceniu i determinacji polskiego podziemia, któremu udało się zwerbować agentów wśród najbliższego otoczenia Hansa Franka. Warto też pamiętać o zorganizowanych z udziałem żołnierzy warszawskiego „Parasola” zamachach – niestety, także nieudanych – na znanych z bestialstwa wysokich funkcjonariuszy niemieckich: Wilhelma Koppego i Friedricha Krügera. Były też inne akcje, ale całe podziemie czekało przede wszystkim na sygnał do ogólnonarodowego zrywu.

Bić się czy nie bić?

Zbliżający się w 1944 r. front i informacje dotyczące akcji „Burza” na wschodnich terenach okupowanej Polski powodowały w Krakowie stan podekscytowania, ale również zdenerwowania. Jednych cieszyły klęski Niemców, innych niepokoiły nadciągające siły sowieckie, a wszystkich pochłaniały wieści o przygoto-



Przemarsz oddziałów Wehrmachtu na pl. Adolfa Hitlera (Rynek Główny) w Krakowie w drugą rocznicę utworzenia Generalnego Gubernatorstwa, październik 1941 r. FOT. LEHMANN GERHARD/NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Dekorowanie budynków flagami z okazji urodzin Adolfa Hitlera, kwiecień 1940 r. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

powietrzny na zachód od Krakowa, w okolicy Alwerni, oraz opanowanie lotniska w Rakowicach. Wiosną

„ Kraków jako stolica GG był traktowany przez władze III Rzeszy w szczególny sposób. Mieszkało tu znacznie więcej Niemców niż w Warszawie. Garnizon liczył ok. 30 tys. żołnierzy, czyli kilka razy więcej niż w stolicy

wura i nieprzestrzeganie zasad ostrożności pociągały za sobą krwawe żniwo. Pod Wawelem, gdzie wszyscy

wywanym powstaniu. Na wszelki wypadek zaopatrywano się w żywność i lekarstwa, a dzieci na czas wakacji wysyłano w miarę możliwości jak najdalej od miasta.

Na wieść o wybuchu powstania w Warszawie, 1 sierpnia, komendant Okręgu Kraków Armii Krajowej, płk Edward Godlewski, zarządził pogotowie bojowe. Ale również Niemcy nie pozostawali bierni. Budowali umocnienia, schrony, a także strzelnice w oknach budynków rządowych. Dzień później raportowano do Martina Bormanna: – *oddziały Wehrmachtu należy ocenić w Krakowie jako więcej niż niedostateczne.*

Niemcy szybko na te braki zareagowali. Już 5 sierpnia komendantem wojennym Krakowa został gen. Heinrich Kittel, który nakazał najwyższą gotowość bojową i skrupulatne przestrzeganie dyscypliny podczas ruchu na ulicach. Niemcy opracowali szczegółowe plany obronne, sprowadzili też do miasta oddziały wyspecjalizowane w walkach ulicznych.

Warto pamiętać, że Kraków jako stolica Generalnego Gubernatorstwa był traktowany przez władze III Rzeszy w szczególny sposób. Mieszkało

tu znacznie więcej Niemców niż w Warszawie. Garnizon niemiecki liczył ok. 30 tys. żołnierzy, czyli kilka razy więcej niż w milionowej stolicy. Ponadto w mieście przebywało 10 tys. uzbrojonych niemieckich urzędników, a także policjanci, oddziały SS oraz oddziały ukraińskie pozostające w sojuszu z Niemcami. A czym dysponowali Polacy?

W całym Okręgu Krakowskim AK liczyła ok. 60 tys. członków, nie była to więc liczba mała. Jednak w samym mieście tych żołnierzy było bardzo niewiele, głównie formacje zgrupowania „Żelbet”. To mogło być kilka tysięcy żołnierzy, z czego zaledwie ok. 1000 do 1500 posiadała broń, głównie zresztą granaty. Inni mogli liczyć na butelki z benzyną. Mimo wszystko optymiści mieli nadzieję, że wykorzystując moment zaskoczenia, zdobędą większe ilości broni na wrogu. Było to jednak mało prawdopodobne, choćby dlatego, że Gestapo zawczasu przechwyciło materiały z dokładnymi planami AK. Niemcy wiedzieli więc, że Polacy zaczną m.in. od uderzenia w dom studencki Żaczek, w którym wtedy mieszkali żołnierze SS. Kolejnym punktem miał być gmach dzisiejszego Muzeum Na-

rodowego, w którym Niemcy mieli swoje kasyno.

W Krakowie była pełna mobilizacja, ale bez akceptacji Warszawy płk



Kolportaż prasy niemieckiej na ulicy Krakowa, kolejka po specjalne wydanie „*Krakauer Zeitung*”, maj 1940 r. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

„ Kiedy pojawili się uchodźcy ze stolicy, zaczęły się problemy. Kraków nie był przygotowany na przyjęcie ponad 60 tys. ludzi. Powstały kłopoty z żywnością, a ceny zaczęły galopować. Szczególnie na początku uchodźcy nie spotykali się z zyczliwością

Godlewski nie mógł podjąć decyzji o wybuchu walk. Niestety, z gen. „Borem” Komorowskim ze względu na trwające powstanie w stolicy trudno było się skomunikować. Ponadto dowódca Armii Krajowej nie miał sprecyzowanego planu co do Krakowa. Pojawiły się nawet dwa sprzeczne rozkazy. W pierwszym nakazywano, by wszystkie siły AK z całej Polski



W tym samym czasie gdy Warszawie toczyły się ciężkie walki w Krakowie, na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej (Collegium Maius) odbył się koncert orkiestry Filharmonii Generalnego Gubernatorstwa, wrzesień 1944 r. FOT. BRANDNER PAUL/NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Plakat z symbolem Victorii na krakowskim ratuszu. Z prawej strony widoczna propagandowa mapa z przebiegiem działań wojennych, lipiec 1941 r.
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

szy na pomoc walczącej stolicy. Spod Krakowa ruszył nawet na północ batalion „Skala”, lecz daleko nie dotarł, gdyż poniósł duże straty pod Złotym Potokiem i się wycofał. Podobnie inni. Pomoc okazała się nierealna.

Drugi rozkaz z Warszawy też nie był jednoznaczny. Zachęcał płk. Godlewskiego do rozważenia możliwości zorganizowania powstania ze względów politycznych. Chodziło o to, by świat się dowiedział, że dwa wielkie polskie miasta walczą z okupantem. Jednakże decyzję o dacie wybuchu walk „Bór” Komorowski pozostawiał do uznania Godlewskiemu. Ten nie był zwolennikiem rozpoczynania powstania w Krakowie. Uważał, że zostanie zduszone już w momencie wybuchu ze względu na dysproporcje sił. Podobnie myśleli politycy krakowscy i to niezależnie od „barwy” – od PPS-WRN do Stronnictwa Narodowego. Przeciwnikiem rozpoczynania walk pod Wawelem był też Kościół. To po spotkaniu Godlewskiego z abp. Sa-

piehą zapadła ostateczna decyzja, by zrezygnować z powstania. Metropolita krakowski zdawał sobie sprawę, że jeśli Polacy uderzą na Niemców, ci zrównają miasto z ziemią. Stąd apele abp. Sapiehy o rozważę, z naciskiem na to, by nie dać się sprowokować.

Uwaga na prowokację

A władzom niemieckim z czasem zaczęło zależeć na wywołaniu powstania. Na początku sparaliżowali podziemie gigantyczną łapanką 6 sierpnia 1944 r., podczas której zatrzymano od 6 do 7 tys. ludzi. Jednych wywieziono na roboty, innych podejrzanych o działalność konspiracyjną wysłano do obozów w Płaszowie czy Auschwitz. Horror „czarnej niedzieli” wstrząsnął Krakowem. Uszczuplone zostały znacznie siły AK. Niemcy poczuli się silni i przygotowali kolejną prowokację. Zaczęli kolportować ulotki, że powstanie wybuchnie a to 8 września, a to 10 października. Czekali tylko na pretekst, by dokonać dalszych gigantycznych aresztowań. Na szczęście nic z tego nie wyszło. Podziemie miało swojego agenta wśród dowództwa Generalnego Gubernatorstwa i w porę ostrzegło mieszkańców Krakowa przed prowokacją.

Kraków nie zdecydował się na rozpoczęcie walk, jednak mieszkańcy miasta żywo interesowali się tym, co dzieje się w Warszawie. Klęska powstania przyjęta została jako klęska całego narodu. Zapanował nastrój przygnębienia i zniechęcenia. Kiedy zaczęły pojawiać się uchodźcy ze stolicy, zaczęły się problemy. Kraków nie był przygotowany na przyjęcie ponad 60 tys. ludzi. Powstały kłopoty z żywnością, a ceny zaczęły galopować. Niestety, szczególnie na początku, uchodźcy nie spotykali się z życzliwością. Dały o sobie znać egoizm, pojawiła się znieczulica i niechęć. Zareagował na to krakowski Kościół. Sapieha, który cieszył się pod Wawelem niekwestionowanym

autorytetem i szacunkiem, napisał list pasterski wzywający do okazania pomocy. Jego interwencja przyniosła oczekiwane efekty. Pomału zmieniała się atmosfera wokół przyjezdnych, powstały nowe przytuliska. Wielkiego wsparcia udzieliła Rada Główna Opiekuńcza – jedyna wtedy, obok Czerwonego Krzyża, legalnie działająca organizacja charytatywna. Krakowianie stopniowo i w miarę możliwości zaczęli angażować się w pomaganie, rodziny przygarniały warszawiaków.

Czy dobrze się stało?

Kraków był przygotowany do powstania. Młodzież akowska pragnęła się bić, dowództwo miało gotowe plany. Ale rozkazy z Warszawy nie były jednoznaczne. Otwartej walki nie chcieli abp Sapieha i politycy. Bali się nierównego starcia i zniszczenia miasta. Czy więc dobrze się stało? Jacek Trznadel w swoim eseju napisał: – *A można sobie wyobrazić klęskę jeszcze większą (niż klęska Powstania Warszawskiego). Gdyby Wehrmacht bronił Krakowa, albo gdyby Armia Czerwona otrzymała polityczny rozkaz umożliwienia Wehrmachtowi obronę Krakowa, bronionego tak, jak później bronił się otoczony Breslau-Wrocław (...) to naród polski potrzebowałby stu lat, by się podnieść z takiej zagłady kultury, jeśli wziąć pod uwagę utratę także Wilna i Lwowa.* ■

Źródła:

Andrzej Chwalba „Dzieje Krakowa. Kraków w latach 1939–1945”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002

„Dlaczego w 1944 roku w Krakowie nie wybuchło powstanie, wywiad z prof. Andrzejem Chwalbą”, „Gazeta Wyborcza”, Kraków, 01.08.2014

„Kraków był gotów do powstania, wywiad z prof. Andrzejem Chwalbą”, „Gazeta Krakowska”, 13.08.2014

Jacek Trznadel „Spór o całość”, Warszawa 2004



Przygotowano we współpracy z Narodowym Archiwum Cyfrowym www.nac.gov.pl

KONCERT z okazji 70. rocznicy Powstania Warszawskiego

W Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie 20 października 2014 r. odbył się uroczysty koncert w wykonaniu Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego pod dyrekcją Adama Martina, upamiętniający 70. rocznicę Powstania Warszawskiego. Koncert zwieńczył cykl rocznicowych obchodów upamiętniających rocznicę wybuchu Powstania, będąc hołdem dla powstańców.

Zaproszonych gości powitał szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych,

Jan Stanisław Ciechanowski:
– *Dzisiejszy koncert to okazja, by przypomnieć, iż pieśń narodowa, pieśń insurekcyjna zawsze towarzyszyła rycerzom Polski niepodległej w ich walce o wolność.*

Oddajemy dziś hołd miastu nieujarzmionemu, miastu niepokonanemu, zwycięskiej Warszawie, bo po 45 latach przyszła upragniona wolność, a Powstanie było jedną z największych bitew w tej jakże długiej wojnie.

Dzisiaj składamy hołd mieszkańcom Warszawy z okresu Powstania, ludności cywilnej, która tyle wycierpiała. Oddajemy cześć żoł-



Na zakończenie koncertu w imieniu Powstańców Warszawskich głos zabral Edmund Baranowski

FOT. ALINA NOWACKA/UDSKIOR

nierzom, łączniczkom, sanitariuszkom, harcerzom z Szarych Szeregów. Dzieciom, młodzieńcom tak wychowanym, że nie wahali się ani chwili, gdy Ojczyzna wezwiała. Ci, którzy zginęli, już na zawsze pozostali młodzi, jak Orleńta Lwowskie. Zginęli jako ludzie wolni. Bo wiedzieli, że to walka o wolność. O tę wolność, bez której Polacy nie potrafią żyć. Bez której nie potrafią oddychać.

Oddajemy cześć bohaterkiej Armii Krajowej, armii obywatel-



Jan Stanisław Ciechanowski zaprosił na koncert Powstańców Warszawskich mieszkających w Polsce i poza granicami kraju FOT. ALINA NOWACKA/USKIOR

skiej. Pokoleniu Kolumbów, o którym Warszawa i Polska cała będą pamiętać jeszcze wtedy, gdy nikogo z nas obecnych na tej sali nie będzie już na świecie. Powstanie Warszawskie pozostanie w pamięci narodu polskiego na wieki, na zawsze.

To jest koncert dla Państwa – Powstańców Warszawskich.

Dajecie nam tak wiele, jesteście sumieniem tego narodu.

Organizatorem koncertu był Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych przy współpracy z Teatrem Wielkim – Operą Narodową oraz Reprezentacyjnym Zespołem Artystycznym Wojska Polskiego.

red





PAPIEROWA WOJNA

WOJCIECH LEWICKI

Pod koniec lat 30. do wojny mobilizowało się nie tylko wojsko – co naturalne i z czego wszyscy zdają sobie sprawę – ale i Bank Polski, co już nie jest takie oczywiste. Podczas gdy nasza armia od początku września 1939 r. była w głębokiej defensywie, bank centralny – w natarciu. W konfrontacji z Niemcami osiągnął on spore sukcesy, zmuszając nawet przeciwnika do „działań obronnych” – korekty wcześniejszych planów monetarnych i stworzenia nowej waluty na terenach okupowanych.

Tuż przed wojną niemiecka waluta nie była wcale aż tak silna, jak mogłoby się nam dzisiaj wydawać. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że w porównaniu z polskim złotym – ledwo zipsała, mimo że nominalnie była dwa razy więcej warta.

Od końca lat 20. niemieckie zapasy złota systematycznie się kurczyły – najpierw z powodu wielkiego kryzysu gospodarczego, który wyjątkowo mocno dotknął to państwo, później z uwagi na potrzebę sfinansowania zakrojonych na szeroką skalę zbrojeń. Podczas gdy w 1928 r. w skarbcu Banku Rzeszy znajdował się kruszec wart w przeliczeniu na złote blisko 6 mld, to w 1936 r. już

tylko niespełna 300 mln, a w 1938 r. (ostatnie dane) zaledwie 153 mln. Równocześnie w ostatnich trzech latach pokoju Niemcy zaczęli wydrukowywać pieniądze, w ten sposób dwukrotnie zwiększając ilość marek w obiegu.

W tym samym czasie Polska zachowywała się zupełnie odwrotnie. Zapasy złota rosły (osiągając w 1939 r. wartość ok. 440 mln zł), a na rynek „wypuszczono” dodatkowe banknoty wartości raptem 350 mln, co stanowiło ok. 20% ogółu pieniądza. Ponadto dużą jego część stanowił srebrny bilon, który – choć bity był w stopie dość lichej próby 750 – siłą rzeczy dodatkowo podnosił zaufanie do polskiej waluty.

Tylko nie marka

Niemcy wyciągnęli wnioski z I wojny światowej i nie chcieli ustanawiać na obszarach okupowanych ani własnej, ani żadnej innej waluty gwarantowanej przez ich bank centralny. Dobrze pamiętali, ile ich kosztowało wprowadzenie w 1917 r. na terenie Generalgubernatorstwa Warszawskiego banknotów Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej, mających pokrycie w marce niemieckiej.

Co prawda wkraczający do Polski żołnierze Wehrmachtu oczywiście nie mieli w swoich portfelach złotych i przynajmniej przez pierwsze dni musieli posługiwać się markami. Taki stan rzeczy sankcjonowało zresztą zarządzenie gen. Brauchitscha, głównodowodzącego wojsk lądowych z 11 września 1939 r. uznające obie waluty za prawny środek płatniczy na zajętych terenach. Niemniej już po dwóch tygodniach zaczęto wprowadzać pomocniczy pieniądz okupacyjny – asygnaty Kas Kredytowych Rzeszy Niemieckiej (Reichskreditkassenscheine), również wyrażone w markach. Miały one



Wymiana wycofanych z obiegu banknotów 500- i 100-złotowych, na „stemplowane” 100-złotówki z emisji 1932 i 1934 r. – wykazała słabość organizacyjną Kas Kredytowych Rzeszy Niemieckiej. Na zdjęciu kolejka przed jednym z jej oddziałów w Krakowie, zima 1940 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Niemcy dobrze pamiętali, jakim zagrożeniem dla ich waluty było wprowadzenie podczas I wojny światowej banknotów Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej. Do obiegu wypuścili wówczas ok. 900 mln marek polskich, które później musieli wykupić. Gdyby nie szalejąca na początku lat 20. inflacja, drogo by ich to kosztowało. Na zdjęciu banknoty z emisji z 1919 r., obowiązujące na terenie Polski aż do reformy walutowej Grabskiego z 1924 r. FOT. WOJCIECH LEWICKI

obowiązywać w okresie przejściowym i ograniczyć niepożądany „wypływ” z Rzeszy niemieckiej waluty.

Niewiele to jednak dawało, bowiem z każdym oddziałem wkraczającym na polskie terytorium nad Wisłę docierały kolejne tysiące marek. W rezultacie zarząd główny Kas Kredytowych 20 listopada nakazał ich przymusową wymianę na złote, wyznaczając jej termin początkowo na 15 grudnia, przedłużony najpierw do końca roku, a ostatecznie do 15 stycznia 1940 r. Najwyraźniej niemiecka waluta musiała stanowić pokaźny procent środków pieniężnych będących w obiegu w utworzonej już wówczas Generalnej Guberni. Potwierdza to zarządzenie nr 37 z 1939 r. władz Kas Kredytowych niezadowolonych z powodu: – *niepożądanie wysokiego stopnia obrotu w markach niemieckich, przypisując to nie zawsze dokonywanej wymianie marek na złote przez kasy wojskowe i organy rządowe.*

Nie tylko prości żołnierze czy niższej rangi oficerowie nie zamierzali się wgłębiać w problemy finansowe Rzeszy. Dla wojska najlepszym rozwiązaniem było posługiwanie się wyłącznie marką bez konieczności jej wymiany wraz ze zmianą dyslokacji poszczególnych oddziałów. Takie samo stanowisko prezentował nawet gen. Schindler, reprezentujący nie-

miecki przemysł zbrojeniowy na posiedzeniu u Hansa Franka (gubernator GG), a więc człowiek, który powinien mieć pojęcie o niuansach gospodarczych. Nawet jednak on najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że odrębność walutowa podbitych terenów zabezpiecza Niemcy przed deprecjacją własnego pieniądza. Znalazło to odzwierciedlenie w dzienniku Hansa Franka, który zanotował: – *Niedopuszczenie marki do GG leży właśnie w interesie Niemiec. Wobec dużego wzrostu obiegu banknotów Rzesza jest pilnie zainteresowana tym, by ograniczyć moc obowiązywania marki do granic Rzeszy. Dlatego też Rzesza przykładą wagę do tego, by na wszystkich okupowanych terytoriach były w obiegu odrębne waluty.*

Ucieczka do przodu

Dnia 5 września 1939 r. została ewakuowana z Warszawy centrala Banku Polskiego, a dzień później to samo uczynił naczelnik Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Ze stolicy wyjechał cały zapas złota i walut naszego banku emisyjnego, większość portfela wekslowego, papierów wartościowych i depozytów, prawie wszystkie wydrukowane już banknoty (także te jeszcze nieopięte, w arkuszach) oraz ich matryce i numeratory.

Wszystkie transporty, również te zmierzające z innych części kraju, spotkały się w Śniatyniu, by następnie udać się do Rumunii. Prawie cały ten majątek (tylko niewielka jego część ugrzęzła w Bukareszcie) drogą morską przewieziono do Stambułu, stamtąd koleją do Bejrutu, potem na pokładzie francuskiego krążownika do Tulonu, by na kilka miesięcy zdeponować w Nevers. W obliczu kłęski Francji polski skarb (5 wagonów) został dołączony do transportu złota belgijskiego i ewakuowany na południe, a następnie do francuskich posiadłości w Afryce Zachodniej. Na kolejne dwa lata, bez naszej zgody, umieszczono go pod ochroną wojsk kolonialnych w forcie Cayes, 800 km od Dakaru.

Tymczasem w Londynie wznowiła działalność centrala Banku Polskiego. Była to sytuacja bez precedensu – dotąd żaden bank emisyjny nie funkcjonował poza swą statutową siedzibą. Niemcy starali się, oczywiście, podważyć jej legalność, jednak banki zagraniczne, a zwłaszcza Bank Rozrachunków Międzynarodowych w Bazylei, uznawały kompetencje emigracyjnego zarządu. W 1942 r. doszło nawet do procesu. W wyroku sąd w Zurychu uznał jednak, że Bank Polski: – *istnieje nadal w Londynie jako polska osoba prawna i fakt, że nie jest w możliwości zajmowania się emisją banknotów na terytorium byłego państwa polskiego, nie może go pozbawić raz mu nadanej osobowości prawnej (...). Prawo członków dyrekcji Banku w Londynie do zastępowania Banku nie może być w żadnym wypadku prawnie kwestionowane.*

Niemniej sytuacja była trudna, bowiem polski skarb znajdował się w zasięgu władz kolaboracyjnego rządu w Vichy. Już pod koniec grudnia 1940 r. Berlin wystosował notę do francusko-niemieckiej komisji zawieszenia broni, domagając się przesłania złota z powrotem do Warszawy. Francuzi nie kwapili się jednak

do jego wydania – ani Niemcom, ani zarządowi Banku Polskiego w Londynie, który złożył skargę w sądzie nowojorskim, w wyniku czego doszło do zablokowania zdeponowanego tam złota Banku Francji. Sprawa została załatwiona dopiero w 1943 r., gdy władzę nad tymi obszarami przejął Komitet Narodowy Francji i polski skarb dotarł wreszcie do Londynu.

Bank Emisyjny w Polsce

We wrześniu 1939 r. w Warszawie pozostał tylko jeden członek dyrekcji Banku Polskiego – B. Oczechowski, którego zadaniem było zabezpieczenie pozostałego w kraju majątku i opieka nad pracownikami. Nie miał on jednak żadnych formalnych uprawnień, bowiem statut wymagał do podejmowania wiążących decyzji podpisu przynajmniej dwóch upoważnionych do tego osób. W rezultacie Niemcy nie mieli najmniejszych szans przywrócenia nad Wisłą dotychczasowej waluty, tak jak uczynili to później w wielu innych podbitych przez siebie krajach Europy. Nie dość, że złotówka utraciła swoje zabezpieczenie w złocie, nie było matryc banknotów, a bez wymiany zniszczonych pieniędzy na nowe nie da się na dłuższą metę obsłużyć rynku finansowego, to jeszcze nie można było stworzyć choćby pozorów legalnej kontynuacji działalności banku emisyjnego. Co prawda Oczechowski został prezesem zarządu powierniczego, ale zakres jego działalności siłą rzeczy ograniczał się w zasadzie tylko do nadzoru nad majątkiem nieruchomości banku.

Tymczasem asygnaty Kas Kredytowych Rzeszy Niemieckiej, jako przejściowa waluta pomocnicza – nie mogły zbyt długo funkcjonować. By nie narażać marki na deprecjację, jak najszybciej należało wprowadzić nowy, okupacyjny pieniądz. Już 15 grudnia 1939 r., najwyraźniej spodziewając się, że przywrócenie dotychczasowej waluty na terenie Generalnej Guberni jest fikcją – Hans Frank



Najdłużej, bo aż do pierwszej połowy 1942 r. pozostawały w obiegu polskie przedwojenne monety. Ponieważ jednak bite były ze srebra, miedzi i niklu – szybko znikaly z rynku. Już na początku 1940 r. zaniepokojony tym problemem Feliks Młynarski pisał do rządu GG: – Ciągłe daje się odczuć ostry brak bilonu; używa się więc różnych jego surogatów: kartek wydawanych przez sklepy, a także biletów tramwajowych korespondencyjnych po 30 gr, które dyrekcja tramwajowa wypuściła ostatnio w książeczkach po 10 sztuk FOT. WOJCIECH LEWICKI



Zadaniem Banku Emisyjnego w Polsce było nie tylko wprowadzenie do obiegu nowej waluty, ale również finansowanie niemieckich wojsk i cywilnych władz okupacyjnych. Na zdjęciu prezes banku Feliks Młynarski i jego zastępca jednym z Jędrzejewski na audiencji u gubernatora GG Hansa Franka FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NJAC.GOV.PL)

wydał rozporządzenie o utworzeniu Banku Emisyjnego w Polsce z siedzibą w Krakowie, którego działalność regulowało późniejsze obwieszczenie z 2 kwietnia 1940 r. Od początku kierował nim Feliks Młynarski, były wiceprezes Banku Polskiego, na co zresztą uzyskał zgodę premiera Władysława Sikorskiego. – *Okazało się więc – wspomina w pamiętnikach – że niemiecki plan finansowania wojny przewidywał pozostawienie walut i banków emisyjnych w ich pozycji przedwojennej, a tylko nakładał na nie silny nadzór władz okupacyjnych. Tak miało być i w Polsce, ale uniemożliwiła to totalna ewa-*

kuacja Banku Polskiego. Wobec tego, aby nie zmieniać przygotowywanego planu, Niemcy tak łatwo zgodzili się na założenie imitacji Banku Polskiego, której domagało się nasze życie gospodarcze.

Cokolwiek by mówić, Bank Emisyjny w Polsce w niczym nie przypominał swojego poprzednika. Nie dość, że nie miał żadnych zasobów złota, to nawet nie posiadał kapitału zakładowego, koniecznego przy tworzeniu choćby zwykłego banku spółdzielczego. W przedmowie do rozporządzenia o jego powstaniu zamieszczono za to stwierdzenie, że bank: – *czierpie swoją egzystencję z pań-*

stwa i dlatego nie potrzebuje specjalnego zabezpieczenia. Dysponował jedynie tzw. funduszem rezerwowym, wynoszącym na koniec grudnia 1940 r. zaledwie 50 mln złotych.

Nie przeszkadzało to jednak Niemcom, by taka efemeryda banku emisyjnego sygnowała nowy okupacyjny pieniądz, wprowadzony do obrotu na początku kwietnia 1940 r. Pierwszą partię banknotów (z datą 1 marca 1940 r.) wydrukowano w Berlinie, natomiast wszystkie kolejne powstały już w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych w Warszawie. Popularnie nazywano je „młynarkami” od nazwiska prezesa banku, Feliksa Młynarskiego, którego podpis widniał na banknotach. Przez cały okres okupacji kurs wymiany złotego krakowskiego do marki był stały i wynosił 2:1. Stale zwiększała się natomiast ilość pieniądza w obiegu, przekraczając w styczniu 1945 r. wielkość 11 mld złotych.



Aby uzupełnić niedobory bilonu, już wiosną 1940 r. zaczęto bić 50-groszowe monety ze stali oraz 10- i 20-groszówki z cynku, a później również 1- i 5-groszówki. Do ich produkcji wykorzystywano przedwojenne stemple, dlatego widnieją na nich daty: 1923 i 1939 r. By jednak nie narażać się na śmieszność, wprowadzając do obiegu pieniądze z orłem w koronie, na części monet w środku był otwór średnicy 4 mm; 50-groszówki szybko jednak rdzewiały i już po 2 latach zostały wycofane. W rezultacie bilon stopniowo zastępowany był banknotami o niskich nominalach: 1, 2 i 5 zł

FOT. WOJCIECH LEWICKI

Poza wprowadzeniem do obrotu nowej waluty Bank Emisyjny w Polsce pełnił jeszcze jedną, istotną dla Niemców rolę – finansował ich wojska okupacyjne i administrację oraz udzielał wysokich pożyczek Bankowi Rzeszy. Była to jedna z metod gospodarczego wykorzystywania Generalnej Guberni.

Wprowadzenie nowego systemu finansowego trafnie podsumował konspiracyjny „Biuletyn Gospodar-

czy” (nr 13 z 25 listopada 1942 r.): – *Planując gospodarkę wojenną, Niemcy wyciągnęli nauki z poprzedniej wojny, obawiali się więc inflacji jako wyniku finansowania kosztów wojny poprzez emisję banknotów i krótkoterminowych zobowiązań skarbowych. Dlatego też w trakcie i w wyniku okupacji cudzych państwowo terytoriów, likwidując samodzielność polityczną, utrzymywali i tworzyli z reguły banki emisyjne, znajdujące się całkowicie pod ich własną kontrolą i zarządem, jednak emitujące pieniądz papierowy w walucie danych terytoriów. Przykładem tego jest oczywiście Bank Emisyjny w Polsce. (...) Tak zwane psucie pieniędzy podczas wojny jest prawie nieuniknione jako źródło dodatkowych wpływów skarbowych. Niechże będzie ofiarą jego każda inna waluta kraju okupowanego poza marką.*

Koszmar wymiany

Już we wrześniu 1939 r. na terenach włączonych do Rzeszy Niemcy bezzwłocznie przystąpili do wymiany pieniędzy. Najszybciej stało się to na Śląsku, gdzie już od 1 października obowiązywała wyłącznie marka. W pozostałych rejonach proces ten trwał prawie dwa miesiące dłużej. Przyjęty kurs wynosił 2:1, co w zasadzie odpowiadało przedwojnemu parytetowi obu walut. Problemem były za to niskie limity wymiany, co było pierwszym (jakże prostym, a jednak skutecznym) sposobem ograbienia polskiego społeczeństwa.

Natomiast na terenie Generalnej Guberni jak długo się dało, Niemcy utrzymali w obiegu polską walutę. Dopiero w styczniu 1940 r. wyszło zarządzenie o konieczności ostemplowania specjalnym nadrukiem („GG für die besetzten polnischen Gebiete” – tzn. GG dla okupowanych obszarów polskich) wyższych nominalów, tzn. banknotów 500- i 100-złotowych. Procedura była taka: najpierw należało je zdeponować

w oddziałach Kas Kredytowych Rzeszy Niemieckiej, by później odebrać, przy czym limit wymiany wynosił 500 złotych. Równoległe dopuszczalna też była „rozmiana” banknotów 100-złotowych na drobniejsze, po 200 złotych na głowę. Do obiegu ponownie wróciły tylko ostemplowane emisje z 1932 i 1934 r. Jak można się było tego spodziewać, przed bankami tworzyły się długie kolejki. – *Podtrzymuję twierdzenie* – pisał do rządu Generalnej Guberni Feliks Młynarski – *że akcja nie da się przeprowadzić w zamierzonej skali. Dotyczy to głównie wsi, gdzie ciężka zima i brak komunikacji, oraz Warszawy – gdzie wraz z okolicą trzeba obsłużyć mniej więcej 300 000 osób. Pomimo wszystkich ułatwień bardzo wiele osób nie dociśnie się do kas bankowych. Fizyczne niepodobieństwo.*

Po wprowadzeniu na początku kwietnia 1940 r. do obiegu „młynarek” przystąpiono do wymiany reszty polskich banknotów. Nominały 100-złotowe (wyłącznie ostemplowane), 50-, 20- i 10-złotowe – traciły ważność 7 maja, a pozostałe (5 i 2 złote) – 20 maja. Najdłużej na rynku obowiązywał bilon, czyli do wiosny 1942 r.

Na terenie okupacji sowieckiej polska waluta straciła ważność 21 grudnia 1939 r. Kurs jej wymiany na ruble wynosił 1:1, a limit zaledwie 300 złotych.

Falszerze z ul. Sanguszki

Już na początku okupacji na terenie Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych powstała prężnie działająca komórka konspiracyjna, która później przyjęła kryptonim PWB/17 – czyli Podziemna Wytwórnia Banknotów. Zorganizował ją mjr w stanie spoczynku Mieczysław Chyżyński „Pełka” – przedwojenny inspektor ochrony PWPW.

Pierwszą poważną akcją zespołu było opatrzenie fałszywym nadrukiem banknotów 100-złotowych, któ-

re po klęsce wrześniowej trafiły do ZWZ z ocalałych kas wojskowych. Całą operację wykonano w konspiracyjnym lokalu przy ul. Żulińskiego. Pod względem technicznym nie była ona zbyt trudna – imponowała tylko jej wartość, która osiągnęła ok. 8 mln złotych.

Prawdziwym wyzwaniem było uruchomienie produkcji fałszywych pieniędzy. Mimo że w skład grupy wchodził najlepszy specjalista zatrudnieni w PWPW, w warunkach konspiracyjnych nie można było wydrukować banknotów na odpowiednim poziomie. Na szczęście tego rodzaju produkcja wszędzie odbywała się etapami, a po każdym z nich następuje kontrola jakości. Ten właśnie niuans stał się podstawą całego planu.

Cały proceder rozpoczął się w papierniach – mirkowskiej (dostarczającej surowiec na niższe nominały) i mokotowskiej (wyższe). W kolejnych transportach ekspediowanych do PWPW wysyłały one nadwyżki arkuszy nieujęte w wykazach. Po drodze odpowiednie ich ilości „ginęły” i trafiały do konspiracyjnych lokali. Wówczas, korzystając z odpowiednich matryc i wzorów kolorystycznych (wraz ze składowymi barw) – przystępowano do produkcji banknotów. Mimo zachowania najwyższej staranności siłą rzeczy różniły się one jednak od oryginałów. Wbrew pozorom nie było to aż tak istotne.

Kolejny etap polegał na przemyceniu wykonanych już banknotów do PWPW, w czym niezmiernie pomocna była nadal istniejąca polska warta. Tutaj trafiały one do działu kontroli, gdzie oczywiście uznawane były za produkt wadliwie wykonany i ewidencjonowane jako makulatura. W zamian konspiratorzy

wynosili oryginalne banknoty, które ponownie trzeba było przemycić przez bramę. Bilans produkcji się zgadzał, a to że jakaś jej część nie spełniała norm – w drukarniach nikogo nie dziwi.

Większy problem był z banknotami 500-złotowymi (tzw. Góralami), których produkcja odbywała się na maszynach wkleślodrukowych austriackiej firmy Nadherny. Podlegała ona ściślejszej kontroli i nie można było podmieniać całkowicie gotowych sztuk. Wynoszone zatem banknoty były półfabrykata-



By zwiększyć zaufanie do nowej złotówki, w przeciwieństwie do poprzedniej niemającej absolutnie żadnego pokrycia w złocie – Niemcom zależało, żeby przynajmniej pod względem graficznym przypominała ona przedwojenne pieniądze. Nie chcieli jednak, by na wprowadzanych do obiegu banknotach znajdowali się polscy bohaterowie narodowi. Mimo przeprowadzonej pod tym kątem weryfikacji – dali się nabrać. Autorzy raportu przygotowanego w PWPW wzmówili im bowiem, że Emilia Plater to: – polski młodzieniec z ubiegłego stulecia. W rezultacie jej wizerunek znajdował się zarówno na przedwojennych, jak i okupacyjnych banknotach FOT. WOJCIECH LEWICKI

mi – nie posiadały numeracji. Jednak i ten problem dało się jakoś rozwiązać. Urządzenia kończące bowiem cały proces produkcji są niewielkich rozmiarów, więc „pożyczano” je na niedzielę.

Podziemna Wytwórnia Banknotów funkcjonowała bez większych zakłóceń prawie do końca 1942 r. Później z uwagi na wpadki i wykrycie przez Niemców banknotów o tych samych numerach – musiała jednak zakończyć działalność. Niemniej „wydrukowała” ona 16,5 mln złotych. Oczywiście w porównaniu z produkcją PWPW (ponad 14 mld) – nie jest to dużo. Biorąc jednak pod uwagę, że przez całą okupację

KG Armii Krajowej dysponowała w sumie ok. 40 mln złotych, to pochodzące z PWB/17 pieniądze stanowiły 40% jej budżetu.

W skład grupy wchodziło 57 osób; 29 z nich, rozkazem gen. Roweckiego z dnia 30 grudnia 1942 r., zostało odznaczonych złotymi i srebrnymi Krzyżami Zasługi z Mieczami. Ostatnim etapem ich fałszerskiej działalności było przekazanie do Londynu (za pośrednictwem funkcjonującego już „mostu powietrznego”) wszystkich elementów koniecznych do wznowienia produkcji bankno-

tów: czarno-białe odbitki każdego koloru, próbki wszystkich zastosowanych farb, gipsowe matryce i kontrmatryce do tłoczenia siatek eguterowych, koniecznych do wyrobu papieru z właściwym znakiem wodnym, jak również wzory tegoż papieru – wszystko w trzech kompletach odpowiadających nominalom 50, 100 i 500 złotych. Po pewnym czasie – obok amunicji i broni – w Polsce zaczęły spadać z nieba „młynarki”. ■



Zdjęcia udostępniło
Narodowe Archiwum Cyfrowe
www.nac.gov.pl

„OPERACJA ŁÓDZKA”

– PIERWSZY BLITZKRIEG NA FRONCIE WSCHODNIM

WALDEMAR KOWALSKI

Przed stuleciem mieszkańcy ziemi łódzkiej byli świadkami jednej z największych operacji manewrowych w czasie I wojny światowej, uważanej za pierwszy Blitzkrieg na froncie wschodnim. Naprzeciw siebie stanęły wówczas potężne armie – ponad 600 tys. żołnierzy różnej narodowości, także polskiej. W ciągu niespełna czterech tygodni, od 11 listopada do 6 grudnia 1914 r., co trzeci z walczących poległ w boju.

Zanim przez Łódź i okoliczne miejscowości przewinęła się fala wojennej pożogi o niespotykanej dotąd skali, słynące z przemysłu włókienniczego miasto w guberni piotrkowskiej kilkakrotnie zajmowały armie państw zaborczych.

Już w pierwszych tygodniach Wielkiej Wojny cały region stał się

terenem walk. W związku ze zbliżającym się frontem, w drugiej dekadzie sierpnia, Rosjanie ewakuowali Łódź. Życie w mieście zamarło – ludność obawiała się zbrodni i zniszczeń podobnych do tych, jakich wojska niemieckie dokonały po zajęciu Kalisza. Dnia 20 sierpnia do Łodzi wkroczyły pierwsze ich oddziały, ale szybko zostały wyparte

i zaledwie sześć dni później miasto ponownie przeszło pod zarządek rosyjski. Niebawem, po rozpoczęciu ofensywy niemieckiej na Warszawę i Dęblin (28 września), carscy urzędnicy po raz kolejny zaczęli opuszczać Łódź; a w mieście ukonstytuował się Główny Komitet Obywatelski, sprawujący władzę z rosyjskiego nadania. Niemcy ponownie zajęli miasto 8 października. Minęły jednak zaledwie trzy tygodnie, a pod Łódź powróciły wojska rosyjskie, które powstrzymały niemiecką ofensywę na obszarze Królestwa Polskiego.



Podczas „Bitwy łódzkiej” poległo ok. 200 tys. walczących. Była to jedna z najkrwawszych batalii I wojny światowej. FOT. FOTOPOLSKA.EU

„Walec parowy”

Rosjanie 30 października po raz kolejny weszli do Łodzi (dzień wcześniej do miasta wysłano patrole kozackie), ku uciesze zdecydowanej większości jej mieszkańców. W kolejnych dniach opanowano pobliskie miejscowości, a front zatrzymał się na Pilicy. Przystąpiono do przygotowań do operacji „Walec parowy”, zakładającej oskrzydlenie obu wrogich armii – niemieckiej i austro-węgierskiej – a następnie uderzenie na zachód. Celem Rosjan było opanowanie Śląska, Moraw, a następnie zdobycie Wiednia i Berlina. Termin rozpoczęcia operacji wyznaczono na 14 listopada.

Na nieszczęście Rosjan, już 3 listopada Niemcy przechwycili rosyjskie nieszyfrowane depesze dotyczące planowanej operacji. W tej sytuacji architektki zwycięstwa pod Tannenbergiem w Prusach Wschodnich (26–31 sierpnia 1914 r.) – gen. Paul von Hindenburg (kilka dni wcześniej mianowany głównodowodzącym wojskami niemieckimi na froncie wschodnim) oraz gen. Erich von Ludendorff (szef sztabu Naczelnego Dowództwa „Wschód”) – aby uprzędzić nieprzyjacielskie uderzenie, stworzyli plan ataku prewencyjnego.

Z uwagi na rozbieżne kierunki natarć 1 i 2 Armii rosyjskiej, między Wisłą i Wartą powstała luka w ich ugrupowaniu, osłaniana siłami zaledwie dwóch korpusów. Niemiecki plan zakładał koncentryczne uderzenie w tym właśnie rejonie. Do realizacji tego zadania spod Częstochowy i Kalisza specjalnie ściągnięto do Torunia (odległego o ok. 300 km) 9 Armie gen. Augusta Mackensena. Miała ona uderzyć po osi Włocławek – Kutno – Łódź, by pod Piotrkowem wyjść na tyły wojsk przeciwnika.

Generał Mackensen dysponował armią liczącą ok. 206,5 tys. żołnierzy. Przydzielono mu także dwa korpusy forteczne („Posen” i „Breslau”) oraz oddziały Landsturmu i Landwehry

– co dawało łącznie siłę 250 tys. uzbrojonych ludzi. Rosjanie zdolni byli natomiast przeciwstawić mu 362,5 tys. wojsk, skupionych w trzy zgrupowania: 1 Armie dowodzoną przez gen. Paula von Rennenkampfa (123 tys.), 2 Armie pod rozkazami gen. Siergieja Scheidemanna (151 tys.) oraz 5 Armie gen. Pawła Plehwego (88,5 tys.). Całym ich frontem północno-zachodnim dowodził gen. Nikołaj Ruzski.

W armiach obu walczących stron służyli Polacy. Najwięcej naszych rodaków zasilili oddziały niemieckie w Wielkopolsce (w samym Korpusie „Posen” było ich 23 tys.). W rosyjskich wojskach na Mazowszu Polacy bili się głównie w ramach dywizji syberyjskich, m.in. w 24 Syberyjskim Pułku Strzelców.

Błyskawiczna kampania 9 Armii

Do ataku 9 Armii doszło 11 listopada – data ta wyznacza początek

zakrojonej na szeroką skalę operacji manewrowej, zwanej „Operacją Łódzką” (lub „Bitwą Łódzką”). Tego dnia oddziały niemieckie wykonały uderzenie na V Korpus Syberyjski, będący w składzie 1 Armii gen. Rennenkampfa. Rosjanie byli zaskoczeni, tym bardziej że dokonane kilka dni temu rozpoznanie nie wykazało w tej okolicy większych sił nieprzyjaciela. – *Rosjan zaskoczyliśmy zupełnie, przyszło do ostrych walk w okolicach Włocławka, Kutna i Dąbia, w których zwyciężyliśmy i odrzuciliśmy nieprzyjaciela w tył* – pisał we wspomnieniach ówczesny generał-kwatermistrz Naczelnego Dowódcy Frontu Wschodniego, Max Hoffmann, zwracając uwagę na inicjatywę strategiczną po stronie Niemców.

Generał Mackensen dążył do okrążenia głównych sił wroga w tzw. kotle łódzkim. W tym celu, po zepchnięciu słabych osłon rosyjskich



FOT. ADINA NOWACKA/USISIOR

KONFERENCJA NAUKOWA

13 listopada 2014 r. szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Stanisław Ciechanowski wziął udział w konferencji popularnonaukowej „Od Operacji Łódzkiej do odzyskania niepodległości”, zorganizowanej w Urzędzie Miasta Łodzi. Podczas konferencji Szef Urzędu wręczył odznaczenia państwowe oraz Medale „Pro Patria”. W uroczystości wzięli udział m.in. Minister Sprawiedliwości Cezary Grabarczyk oraz Prezydent Łodzi Hanna Zdanowska. Jan Stanisław Ciechanowski został odznaczony Krzyżem Rubinowym za „wybitne zasługi dla Stowarzyszenia Dzieci Wojny w Polsce”.



Jeńcy rosyjscy maszerujący ulicami Łodzi FOT. FOTOPOLSKA.EU

na północy, 9 Armia skierowała się łukiem na południe z zamiarem rozwinęcia natarcia na Kutno. Jej celem było wbicie klina pomiędzy dwie rosyjskie armie (1 i 2), wyjście na tyły tej drugiej i osiągnięcie linii Bzury. Jednocześnie na Pabianice i Tuszyn nacierały oddziały dowodzone przez gen. Rudolfa von Frommela (grupa gen. Frommela). Na południu operował natomiast korpus gen. Remusa Woyrscha – jego zadaniem była obrona Śląska przed potencjalnym atakiem Rosjan, spodziewanego ze strony 5 Armii gen. Plehwego. Dnia 15 listopada rozpoczęto ponadto wyładunek 2 Armii austro-węgierskiej, z zadaniem wsparcia południowego odcinka frontu.

Gdy 13 listopada Niemcy zajęli Włocławek, dowodzący w tym rejonie rosyjski gen. Rennenkampf (swoją drogą ich rodak, jakich wielu innych, służących wówczas głównie na wyższych szczeblach w carskim wojsku) – utracił łączność z dowódcami pozostałych armii. W związku z tym jego zwierzchnik (gen. Scheidemann) przegrupował cały front. – *Jego pomysł najwidoczniej zasadał się na tym, by strategicznie rozmieścić swoją armię wzdłuż linii od Strykowa do Łęczycy, zwracając się w kierunku północno-wschodnim i zachodząc z flanki siły niemieckie na lewym brzegu Wisły* – relacjono-

” W armiach obu walczących stron służyli Polacy. Najwięcej naszych rodaków zasililo oddziały niemieckie w Wielkopolsce. W rosyjskich wojskach na Mazowszu Polacy bili się głównie w ramach dywizji syberyjskich

wał gen. Alfred Knox, brytyjski oficer łącznikowy przy armii rosyjskiej. Jak dodał, główny problem carskich dowódców, wzajemnie skłóconych, wynikał z faktu, że nie doceniali oni siły uderzeniowej wojsk niemieckich i talentu dowodzących nimi generałów – Hindenburga i Ludendorffa.

Niemcy 15 listopada zajęli Kutno i Łęczycę, a kolejne dni przyniosły im następne sukcesy. Wykorzystując ok. 60-km wyrwę między 1 i 2 rosyjską armią, wdarli się w głąb nieprzyjacielskiego ugrupowania. Do 17 listopada obsadzili linię Bzury i Neru oraz opanowali Zgierz; a dzień później – zajęli Brzeziny i Koluszki. Pierścień wokół Łodzi zaciskał się coraz bardziej. – *Rano otrzymujemy*

przez gubernatora od władz wojskowych wiadomość, że wojska niemieckie zbliżają się od Łęczycy i że wojska rosyjskie mają przyjąć walną bitwę pod samą Łodzią, mniej więcej na linii Zgierz – Stryków. Robi to na wszystkich odpowiednio wrażenie. (...) W ogóle nastrój w mieście staje się nerwowy. Walna bitwa pod samym miastem to nie byle co – wspominał dzień 17 listopada inż. Eugeniusz Krasuski, łódzki działacz społeczny i gospodarz.

Walki 18 listopada przeniosły się na przedmieścia Łodzi. Zacięte boje toczono o Stoki, Widzew, Chojny oraz w rejonie Strykowa, Rzgowa, Brzezin, Bedonia i Tuszyna. Jednocześnie niemieckie aeroplany bombardowały samo miasto, ostrzeliwała też je ich artyleria – co powodowało znaczne straty w zabudowie. Tymczasem do Łodzi przybywały kolejne transporty rannych (łącznie w ciągu kilku tygodni walk znalazło się ich tutaj ok. 35 tys.). W rezultacie mieszkańców ogarnęła panika. Brakowało żywności (przede wszystkim chleba i mięsa), sytuację utrudniały mrozy, które nadeszły w trzeciej dekadzie listopada.

„Lew Brzezin”

Głównym założeniem niemieckiego dowództwa było otoczenie rosyjskiej 2 Armii, która broniła się w oparciu o system okopów na przedpolach Łodzi. Zadanie przełamania nieprzyjacielskiej obrony otrzymała grupa uderzeniowa gen. Reinharda von Scheffera (49 i 50 Rezerwowe Dywizje Piechoty, 3 Dywizja Gwardii i pół dywizji kawalerii). Jednym z najkrwawszych epizodów całej operacji były walki w rejonie Starowej Góry i Rudy Pabianickiej, stoczone w dniach 21–22 listopada. Mimo wszystko ataki niemieckie zostały powstrzymane pod Gadkami Starymi (obecnie Gadka Stara).

Z czasem będącym w szpicy natarcia oddziałom niemieckim zaczęło grozić okrążenie, co dotyczyło

przede wszystkim grupy uderzeniowej gen. Scheffera. Jej sytuację pogarszał fakt skierowania pod Łódź rosyjskich posiłków – tzw. oddziału łowickiego. – *Z triumfem donosiły rosyjskie meldunki radiotelegraficzne o spodziewanym wielkim zwycięstwie. (...) Radiotelegraficzny rozkaz polecał już przygotować około 60 pustych pociągów do przewiezienia spodziewanych jeńców niemieckich, gdy w nocy z 24 na 25 Niemcy przebili się zwycięsko w kierunku północnym* – pisał gen. Hoffmann. Jak się okazało, z pomocą gen. Schefferowi przyszedł gen. Karl von Litzmann, dowódca 3 Dywizji Gwardii.

Zajęcie Łodzi

Regularne boje o podłódzkie miejscowości toczyły się do 26 listopada – po tej dacie obie armie przeszły do walk pozycyjnych. Jednak fakt przybycia na ziemię łódzką niemiec-

odwrocie oddziałów z Łodzi i wycofaniu na linię rzek – Bzury, Rawki, Pilicy i Nidy. Podczas spotkania dymisje otrzymali generałowie Rennekampf i Scheidemann; zastąpili ich kolejno gen. Aleksandrow Litwinow i gen. Władimir Smirnow.

Tymczasem 1 grudnia ruszyło nowe niemieckie natarcie. Najcięższe walki toczyły się w rejonie Łowicza,

”Boje w ramach „Operacji łódzkiej” toczyły się na obszarze obejmującym ponad połowę obecnego województwa. Na froncie rozciągającym się na ok. 300 km walczyło ponad 600 tys. ludzi

11 listopada – wraz z końcem Wielkiej Wojny oraz odzyskaniem przez Polskę niepodległości, w czwartą rocznicę rozpoczęcia „Bitwy łódzkiej”.

Bilans operacji

Boje w ramach „Operacji łódzkiej” toczyły się na obszarze obejmującym ponad połowę obecnego województwa (na terenie 93 spośród 177 gmin). Zaangażowano w nie ogrom sił i środków – na froncie rozciągającym się na ok. 300 km, od Włocławka po Przedbórz, walczyło ponad 600 tys. ludzi. Borys Szaposznikow, późniejszy marszałek Związku Sowieckiego, a w 1914 r. oficer rosyjskiej 2 Armii, nazwał we wspomnieniach „Operację łódzką” *najbardziej złożoną operacją manewrowego okresu pierwszej wojny światowej*. Toczona tutaj bitwa jest także uważana za pierwszy przykład wojny błyskawicznej (niem. Blitzkrieg). Walki pod Łodzią przeszły do historii również za sprawą zastosowania w nich po raz pierwszy na froncie wschodnim samochodów pancernych.

Batalia o Łódź nie została rozstrzygnięta. Ze strategicznego punktu widzenia wygrali ją Niemcy, którzy opanowali Łódź (ostatnie wielkie miasto na zachodniej granicy rosyjskiego imperium) oraz udaremnili rosyjskie plany ofensywy „Walec parowy”. Biorąc jednak pod uwagę względy taktyczne – zwycięsko wyszli z niej Rosjanie, którzy mimo problemów nie dali się okrążyć i „w miarę sprawnie” wycofali się z Łodzi. Nie doszło do całkowitego pokonania żadnej z walczących armii, a Rosjanie zorganizowali nową linię obrony w oparciu o rzeki: Bzura, Rawka, Pilica i Nida. Front ustabilizował się na tym terytorium do wiosny 1915 r. Według gen. Hoffmanna, do całkowitego zwycięstwa Niemców w „Bitwie łódzkiej” nie doszło ze względu na konieczność prowadzenia działań bojowych na dwóch frontach. Niemieckie posiłki



Zołnierze niemieccy w przerwie między działaniami zbrojnymi FOT. FOTOPOLSKA.EU

kich posiłków z frontu zachodniego sprawił, że wojska gen. Mackensena ponowiły bardziej zdecydowane ataki na nieprzyjacielskie pozycje. Nie przyniosły one jednak spodziewanych efektów.

W obliczu ustabilizowania się frontu 29 listopada w Siedlcach na naradzie wojennej z udziałem m.in. głównodowodzącego armii rosyjskiej Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza, podjęto decyzję o stopniowym

Pabianic i Piotrkowa. Jednocześnie trwała ewakuacja rosyjskich urzędników z Łodzi. Wyruszały także transporty kolejowe z tysiącami rannych. Jako ostatni miasto opuściły rosyjskie wojska, wycofując się o ok. 80 km na wschód. Pierwsze niemieckie oddziały ponownie wkroczyły do miasta 6 grudnia w godzinach popołudniowych. Ich nowa okupacja trwała przez niemal cztery kolejne lata; zakończyła się dopiero



Walki na ulicach Łodzi. Grafika pochodzi z przedwojennej z pocztówki FOT. FOTOPOLSKA.EU

przysłano z zachodu zbyt późno ze względu na ofensywę pod Ypres (zakończyła się dopiero 22 listopada), prowadzoną przez naczelnego dowódcę armii niemieckiej, gen. Ericha von Falkenhayna.

W trakcie trwających prawie miesiąc walk pod Łodzią zginęło ok. 200 tys. żołnierzy obu armii, z czego ok. 90 tys. niemieckiej i austro-węgierskiej oraz 110 tys. rosyjskiej. Wśród ofiar, oprócz Niemców, Rosjan i Austriaków, byli także m.in. Polacy, Czesi, Ukraińcy, Litwini, Łotysze oraz Tatarzy.

Bitwa pod Łodzią to nie tylko cierpienia żołnierzy, ale także tysiący cywilów – mieszkańców miejscowości, przez które przetoczył się front. Według szacunków Milicji Obywatelskiej w Łodzi, pomiędzy 17 listopada a 5 grudnia w granicach miasta (i na przedmieściach) zginęło 135 cywilów, 99 zostało rannych. Zniszczenia wojenne w jeszcze większym stopniu dotknęły takie miejscowości, jak Aleksandrów, Zgierz, Tuszyn czy Konstantynów. Wojna boleśnie doświadczyła także mieszkańców wsi – dziesiątki z nich obróciły się w ruinę, ku rozpaczającej ludności maszerujące armie niszczyły pola uprawne. Skutki działań bojowych z listopada i grudnia 1914 r. odczuwano na ziemi łódzkiej jeszcze wiele lat po wojnie. ■



Uroczystość na cmentarzu w Gadce Starej FOT. ALINA NOWACKA/UDSKIOR

ŻOŁNIERSKA NEKROPOLIA

Największa operacja manewrowa I wojny światowej na froncie wschodnim, znana jako „Operacja Łódzka”, pochłonęła ok. 200 tys. istnień. O tej ogromnej ofierze przypominają dziś zaniedbane cmentarze wojskowe, rozsiane po wielu miejscowościach województwa. Na największym z nich – w Gadce Starej – spoczywa ponad 2 tys. żołnierzy.

Porządkując teren walk po bitwie, poległych chowano w prowizorycznych mogiłach. Wielu z nich, bez względu na mundury, jakie nosili, spoczęło obok siebie. Specjalne oddziały grabarzy zaczęły kopać bratnie mogiły. Stawiano na nich drewniane krzyże, które dzisiaj jeszcze spotkać można w okolicach Łodzi. Na wzgórzu pod Rzgowem, które Niemcy nazwali Gräberberg (Grobowia Góra), stoi na monumentalnej podstawie z kamieni polnych wielki krzyż, wokół niego śpią obok siebie snem wiecznym tysiące rosyjskich i niemieckich żołnierzy. Na cmentarz wyznaczono wzgórze na skraju wsi, a więc miejsce, o które toczyły się najkrwawsze boje.

Cmentarz oficjalnie otwarto w 1915 r. Spoczywają na nim zarówno żołnierze armii niemieckiej, jak i rosyjskiej, a wśród nich polegli o polsko brzmiących nazwiskach. O ofiarach przypominały ustawiane nad grobami krzyże katolickie i prawosławne oraz otoczone kamieniami kopce, usypywane w miejscach mogił zbiorowych. Z biegiem lat niszczone drewniane krzyże zastępowano betonowymi tablicami z personaliami ofiar (do dziś zachowało się jedynie kilkadziesiąt nagrobków).

23 listopada 2014 r. Jan Stanisław Ciechanowski, szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, wziął udział w uroczystości odsłonięcia pomnika poświęconego Polakom, którzy polegli w czasie I wojny światowej walcząc w szeregach armii zaborczych, zorganizowanej na cmentarzu w Witkowicach z okazji 100. rocznicy Bitwy Łódzkiej. Cmentarz ten jest miejscem spoczynku żołnierzy niemieckich i rosyjskich, wśród których znalazło się wielu Polaków pochodzących z zaboru pruskiego i rosyjskiego.

W uroczystości uczestniczyli duchowni obrządku katolickiego i prawosławnego, przedstawiciele władz lokalnych, Okręgowej Dyrekcji Lasów Państwowych, organizacji zrzeszających zamieszkałych w Polsce Rosjan i Białorusinów, kombatanci, harcerze i strzelcy. Ceremonię zakończyło złożenie wiązanek pod odsłoniętym pomnikiem, a także w kwaterach żołnierzy niemieckich i rosyjskich. Organizatorem uroczystości było Nadleśnictwo Brzeziny.

FOT. MARTA DUDK





FOT. ALIWA NOWACKA-UDSKOR

JAN P. SOBOLEWSKI | JAN SROKA | PIOTR SUŁEK

BRATANKI

Ponadtyścioletnie stosunki polsko-węgierskie mają w skali europejskiej wyjątkowy charakter. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, możemy bez przesady stwierdzić, że Polaków i Węgrów łączyła przez wieki wzajemna przyjaźń i sympatia.

Świadectwem tych szczególnych więzów były m.in. wspólne zmagania o wolność obu krajów w XIX w., a w następnym stuleciu serdeczne przyjęcie przez państwo i społeczeństwo węgierskie polskich uchodźców wojennych i wojskowych począwszy od września 1939 r.

IV Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w Jarosławiu

W Jarosławiu 13–14 września 2014 r. odbyły się obchody IV Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, zorganizowane przez Ośrodek Kultury i Formacji Chrześcijańskiej im. Służebnicy Bożej Anny Jenke oraz Club Konsulów. Drugiego dnia obchodów w uroczystościach wzięli udział m.in.: szef Urzędu do Spraw Kom-

batantów i Osób Represjonowanych, Jan Stanisław Ciechanowski; konsul generalna Węgier w Krakowie, Adrienne Körmendy. Organizatorów reprezentowali natomiast dyrektor Ośrodka Kultury i Formacji Chrześcijańskiej, ksiądz prałat Marek Pieńkowski, a także sekretarz generalny Clubu Konsulów, Stanisław Machała, natomiast gospodarzy przedstawiciele władz samorządowych z zastępcą burmistrza Jarosławia, Bogdanem Jerzym Wołoszynem.

Jan Stanisław Ciechanowski złożył wieńce pod pomnikiem Przyjaźni Polsko-Węgierskiej i Kopijnikiem (rzeźbionym na „staromadziarską modłę” drewnianym słupem – poświęconym uczestnikowi walk o wolność Polski i Węgier: płk. Leonowi

Czechowskiemu), a po udaniu się do opactwa benedyktyńskiego więzankę – pod tablicą upamiętniającą pobyt w Jarosławiu księcia Franciszka II Rakoczego, politycznego emigranta i przyjaciela Polaków. Ceremonię złożenia wieńców i wiązanek poprzedziły hymny Węgier i Polski, odegrane przez Orkiestrę Dętą z Miejsca Piastowego.

Następnie w kościele pw. św. bp. Mikołaja i Stanisława odprawiona została Msza św. w intencji narodu węgierskiego z okazji 75. rocznicy przyjęcia przez Węgry polskich uchodźców wojennych. Wyjątkowo podniosły charakter zapewnił nabożeństwu chór Michael z Kańczugi.

Na okolicznościowe spotkanie z okazji Dnia Przyjaźni uczestnicy uroczystości zostali zaproszeni do auli opactwa. W swoim wystąpieniu Jan Stanisław Ciechanowski przypomniał zebrany wybitne postacie związane z historią Polski i Węgier, z odleglejszej przeszłości: królową i świętą Jadwigę Andegaweńską, wojewodę Jánosa Hunyadięgo, króla Stefana Batorego i gen. Józefa Be-

ma, a z minionego wieku opiekunów polskiego wojennego wychodźstwa i organizatorów pomocy dla Polaków: Józsefa Antalla, Henryka Sławiaka i Jánoša Esterházyego. Nawiązując w ten sposób do 75. rocznicy przyjęcia przez Węgry polskich uchodźców, szef Urzędu podkreślił, jak ważna jest pamięć o długu wdzięczności zaciągniętym wówczas przez Polaków wobec narodu węgierskiego.

Szef Urzędu, Jan Stanisław Ciechanowski, wspomniał także niezwykle wydarzenie, które miało miejsce 16 maja 2012 r. w Galerii Porczyńskich w Warszawie, podczas uroczystej promocji drugiego tomu albumu „Pamięć. Polscy uchodźcy na Węgrzech 1939–1946” autorstwa Krystyny i Grzegorza Łubczyków. Emerytowani oficerowie armii węg-

” Gen. bryg. Waław Scaevola-Wieczorkiewicz, ukochał Jarosław i położył wielkie zasługi dla tego miasta w dziedzinie kultury i ochrony zabytków

gierskiej przekazali mu wówczas niewielki ryngraf, pamiątkę po jednym z uchodźców – gen. Waławie Scaevola-Wieczorkiewicz. Przed wyjazdem w 1940 r. do Francji zostawił on ryngraf swoim węgierskim przyjaciołom wraz z prośbą, aby przesłali go w przyszłości do Polski. Sam do kraju już nie powrócił i resztę życia spędził najpierw we Francji, gdzie działał w antyniemieckim podziemiu, a potem w Szwajcarii.

Na koniec części oficjalnej uroczystości szef Urzędu, w uznaniu zasług dla upamiętniania polskich tradycji walk o niepodległość, wyróżnił Medalami „Pro Patria”: księdza Marka Pieńkowskiego i Stanisława Machała. Następnie przekazał na ręce księdza



Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w Jarosławiu. Delegacja Urzędu z Janem Stanisławem Ciechanowskim składa wieńce pod pomnikiem Przyjaźni Polsko-Węgierskiej i Kopijnikiem FOT. ALINA NOWACKA/UDSKIOR



Uroczystość w auli opactwa benedyktyńskiego. Wystąpienie Jana Stanisława Ciechanowskiego, z lewej Stanisław Machała, sekretarz generalny Clubu Konsulów FOT. ALINA NOWACKA/UDSKIOR

prałata wspomniany już ryngraf, pamiątkę po gen. bryg. Waławie Scaevola-Wieczorkiewicz. Generał był nie tylko legionistą, uczestnikiem wojny polsko-sowieckiej 1920 r. i kampanii wrześniowej 1939 r., ale także człowiekiem, który ukochał miasto Jarosław. Jako dowódca 24. Dywizji Piechoty WP i Garnizonu Jarosław (1926–1935), a potem przewodniczący Stowarzyszenia Miłośników Jarosławia (1935–1939) położył wielkie zasługi dla tego miasta w dziedzinie kultury i ochrony zabytków, w tym dla zabytkowego warownego opactwa benedyktyńskiego.

Po wręczeniu odznaczeń i przekazaniu ryngrafu Grzegorz Mruk, Zofia Kostka-Bieńkowska i Stani-

śław Machała przybliżyli zebrany dzieje Jarosława, w szczególności opactwa benedyktyńskiego i osób z nim związanych.

Po 75. latach

Jan Stanisław Ciechanowski 20 września uczestniczył w uroczystościach związanych z obchodami 75. rocznicy polskiego uchodźstwa na Węgrzech. Pierwszą była odbywająca się w Budapeszcie, pod patronatem ministrów obrony narodowej Polski i Węgier uroczystość odsłonięcia ufundowanej przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych tablicy upamiętniającej pobyt na Węgrzech w 1939 r. 10. Brygady Kawalerii pod dowódz-

twem płk. Stanisława Maczka oraz tysiący uchodźców cywilnych i wojskowych.

Uroczystość rozpoczęła Msza św., której przewodniczył i wygłosił homilię ks. Sławomir Klim SChr, proboszcz polskiej parafii katolickiej w diecezji Breda, honorowy kapelan Federacji Organizacji Polskich Pancerniaków. Po jej zakończeniu nastąpiło odsłonięcie tablicy umieszczonej na murze Kościoła Polskiego w Budapeszcie. Powstała ona z inicjatywy ks. Karola Kozłowskiego SChr, proboszcza Polskiej Parafii Personalnej na Węgrzech oraz Stowarzyszenia Katolików Polskich na Węgrzech pw. św. Wojciecha.

W swoim wystąpieniu szef Urzędu przypomniał wielką życzliwość i serdeczność, z jaką Węgrzy przyjęli Polaków, wspominał węgierskich organizatorów pomocy dla Polaków którzy wielu polskim uchodźcom, w tym płk. Stanisławowi Maczkowi i jego żołnierzom, umożliwili przedostanie się na Zachód i dalszy udział w walkach o odzyskanie niepodległości Polski. Jan Stanisław Ciechanowski podkreślił: – *nieprzemijającą wdzięczność narodowi węgierskiemu za otwarte serca i braterską pomoc udzielone Polakom w niezwykle trudnej sytuacji.*

W uroczystości udział wzięli m.in.: Beata Oczkiewicz, podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej; Roman Kowalski, ambasador RP w Budapeszcie; Halina Csúcs, rzecznik mniejszości polskiej w węgierskim Parlamencie; płk Zoltán Adam, z-ca dowódcy Brygady Garnizonu Budapeszt; James Jurczyk, prezes Beskidzkiego Stowarzyszenia Maczkowców, syn żołnierza 1. Dywizji Pancerniej; Zdzisława Molnáré Sagun, prezes Stowarzyszenia Katolików Polskich na Węgrzech pw. św. Wojciecha, oraz przedstawiciele węgierskiej Polonii. Uroczystość zakończył Apel Poległych i salwa honorowa kompani reprezentacyjnej Wojska Polskiego.



Odsłonięcie tablicy upamiętniającej pobyt na Węgrzech w 1939 roku 10. Brygady Kawalerii pod dowództwem płk. Stanisława Maczka. Od lewej stoją m.in. gen. dyw. pil. Leszek Cwojdziański, Jan Stanisław Ciechanowski, Beata Oczkiewicz, podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej, Roman Kowalski, ambasador RP w Budapeszcie, Halina Csúcs, rzecznik mniejszości polskiej w węgierskim Parlamencie. FOT. MONIKA LELEJKO

” *Byłoby nie po chrześcijańsku nie udzielić strudzonemu wędrowcy schronienia, gdy znajduje się bez dachu nad głową*

W tym samym dniu w godzinach popołudniowych w Sárospatak szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych wziął udział w drugiej uroczystości związanej z obchodami 75. rocznicy przyjęcia polskich uchodźców na Węgrzech. Jan Stanisław Ciechanowski wraz z Jánosem Arosem, burmistrzem miasta Sárospatak, odsłonił na ścianie miejscowego ratusza tablicę ufundowaną również przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych: „W hołdzie Narodowi Węgierskiemu za otoczenie opieką 140 tys. polskich żołnierzy i uchodźców cywilnych w latach II wojny światowej. Wdzięczni Polacy”.

Jesteśmy winni pamięć

Węgrzy nie tylko nie wsparli niemieckich nazistów w agresji militarnej na Rzeczpospolitą, ale długie



Tablica umieszczona na murze Kościoła Polskiego w Budapeszcie. FOT. MONIKA LELEJKO

lata robili, po w ich mocy, by uratować jak najwięcej naszych rodaków, stworzyć im godne warunki do życia. Propolskie władze zaś udając przed niemieckim wywiadem, że nie widzą przerzutów polskich żołnierzy na Zachód – niebywale pomogły gen. Sikorskiemu stworzyć armię u boku aliantów.

Krzepiący serca powód zachowań Węgrów wobec naszych rodaków, zarówno we wrześniu 1939 r., jak i w latach następnych, przedstawił jeden z najważniejszych opiekunów Polaków, ks. Béla Varga: – *Byłoby nie po chrześcijańsku nie udzielić strudzonemu wędrowcy schronienia, gdy znajduje się bez dachu nad głową, a cóż dopiero nie przyjąć u siebie w domu najbliższych krewnych, jakimi Wy jesteście dla nas, Kochani Bracia Polacy.*

W ponurej historii II wojny świa-

towej życzliwość i opieka Węgrów nad polskimi uchodźcami jest jedną z nielicznych jasnych kart. Z tej bezprecedensowej postawy dzisiejsi Węgrzy mają prawo być dumni, choć powojenne dziesięciolecia minionego systemu nie sprzyjały pielęgnowaniu świadomości o tych wydarzeniach. Dlatego stopniowo przywracana jest pamięć o latach prawdziwego braterstwa węgiersko-polskiego. Niewielu pamięta, że osoby szczególnie zasłużone w niesieniu nam pomocy – zwłaszcza pod rządami krwawego stalinowca, Mátyása Rákosiego – spotkały prześladowania i represje.

W ostatnim dziesięcioleciu zwracają uwagę działania Grzegorza Łubczyka, dziennikarza, b. ambasadora na Węgrzech (1997–2001), który wspólnie z małżonką Krystyną Łubczyk dokumentował przyjęcie polskiego uchodźstwa przez Węgrów, co zaowocowało wydaniem albumów „Pamięć / Emlékezés. Pols-

ślów Ciechanowski, szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych wskazał na udzielaną Polakom pomoc od 1939 roku. – *Wiele już napisano o fenomenie polsko-węgierskich więzów, o wspólnej walce o niepodległość i honor, lecz zawartość albumu dowodzi, że nie wszystko. Dziś, w jednoczącej się Europie, Europie demokracji i pokoju, pragniemy pokazać światu na kogo mogliśmy zawsze liczyć w tragicznych momentach naszej historii. Wyobraźmy sobie, my Polacy, co by się stało, gdyby w 1939 roku nie było tej przyjaznej granicy polsko-węgierskiej, przez którą mogły się ewakuować tysiące polskich uchodźców wojskowych i cywilnych. Ci którzy podali Polakom pomocną dłoń w nieszczęsnym Wrześniu, gdy Polska pierwsza powiedziała Hitlerowi „nie”, na zawsze pozostaną w naszej pamięci i naszych sercach. Mając takich przyjaciół, sprawie polskiej – sprawie walki o wolność narodów*



Jan Stanisław Ciechanowski wraz z Jánosem Aros, burmistrzem miasta Sárospatak, odstawiają na ścianie miejscowego ratusza tablicę: „W hołdzie Narodowi Węgierskiemu za otoczenie opieką 140 tysięcy polskich żołnierzy i uchodźców cywilnych w latach II wojny światowej. Wdzięczni Polacy” FOT. MONIKA LELEKÓ

cy uchodźcy na Węgrzech 1939–1946” (Wyd. Rytm, 2009) i „Pamięć II / Emlékezés II” (Wyd. Rytm, 2012).

W przedmowie do albumu „Pamięć II / Emlékezés II”, Jan Stani-

przeciwko totalitaryzmom – zawsze towarzyszył optymizm. I po wielu latach, w 1989 roku, ta nadzieja doprowadziła do upragnionej wolności. Wspólnej wolności narodów Europy Środkowo-Wschodniej.

Grzegorz Łubczyk, na bazie bogatej dokumentacji, w 2012 r. zrealizował film dokumentalny „Węgierskie serce” (Religia.TV), którego produkcję wsparł finansowo Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, a który to obraz wyróżniony został podczas tegorocznej VI edycji festiwalu „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci” w Gdyni.

Dorobek filmowy Grzegorza Łubczyka poświęcony polsko – węgierskim relacjom powiększył się w tym roku o kolejny obraz dofinansowany przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. „Życie na krawędzi Henryk Sławik - József Antall senior”, to poruszający dokument fabularyzowany opowiadający historię z okresu II wojny światowej. Przypadkowe spotkanie przedstawiciela władz węgierskich z jednym z ponad 120 tys. Polaków, którym po 17 września 1939 roku Węgrzy udzielili schronienia, zaowocowało heroiczną, pełną niebezpieczeństwa walką obu o los naszych rodaków. Urzędowe kontakty Henryka Sławika (w tej roli Krzysztof Globisz) z Józsefem Antallem



Grzegorz Łubczyk, b. ambasador RP na Węgrzech, odebrał w Gdyni wyróżnienie za film „Węgierskie serce” FOT. ARCHIWUM FESTIWALU NNW

seniorem (Olgiert Łukaszewicz) szybko przerodziły się w prawdziwą przyjaźń, która w czasie wojny wymagała balansowania na krawędzi życia i śmierci. ■



FOT. ARCHIWUM

Żywot człowieka gwałtownego

MARCIN ŚMIETANKA

W warszawskim Domu Polonii 9 października odbyła się promocja książki wspomnieniowej Józefa Łobodowskiego „Żywot człowieka gwałtownego”, wydanej nakładem Editions Spotkania, przy finansowym wsparciu Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. W gronie zaproszonych gości znalazł się szef UdSKIOR, Jan Stanisław Ciechanowski.

Jak podkreślali organizatorzy, ideą przyświecającą wydaniu tej książki było przywrócenie narodowej pamięci „poety wyklętego”, którego twórczość w czasach komunistycznych objęta była zakazem cenzury.

Józef Łobodowski, w okresie międzywojennym znacząca postać cyganerii artystycznej Lublina i Warszawy, był bohaterem towarzyskich skandali – został nawet relegowany z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego za „szerzenie pornografii i bluźnierstwa” w wydanych przez siebie utworach poetyckich. Jednocześnie komunistował, ale do czasu. Jego ideowym przełomem stała się wyprawa do Związku Sowieckiego w 1935 r., która ukazała mu realne oblicze „nowego raju”.

Komunizm zwalczał odtąd konsekwentnie m.in. w ramach ruchu prometejskiego, wspierającego aspiracje niepodległościowe narodów, które pozostawały w jarzmie ZSRS. We wrześniu 1939 r. brał udział w wojnie przeciwko agresji niemieckiej, a potem znalazł się we Francji, następnie w Hiszpanii, gdzie spędził resztę życia. Współpracował z Radiem Madryt, a także z londyńskimi „Wiadomościami”, paryską „Kulturą” i innymi czasopismami emigracyjnymi. Swoją bezkompromisową postawą z czasem zawęził pole działania, przez co musiał się zmagać z niedostatkiem, szczególnie dotkliwym u schyłku życia. Mimo to potrafił czerpać radość z drobnych przyjemności, często przesiadując i jednocześnie tworząc w ulubionej hiszpańskiej knajpcie przy lampce czerwonego wina.

O jego losach i twórczości opowiadali na spotkaniu: wydawca Piotr Jegliński oraz dr Paweł Libera, historyk z Polskiej Akademii Nauk. Pierwszy z wymienionych, zaprzyjaźniony z Łobodowskim, dzielił się z zebranymi osobistymi wspomnieniami, ukazującymi barwną osobowość artysty, który nawet w jesieni życia pozostał



Wybitny aktor Olgierd Łukaszewicz przypomniał twórczość poetycką Józefa Łobodowskiego FOT. ZYGMUNT BUTKIEWICZ

młody duchem. W wypowiedzi Jeglińskiego nie zabrakło też tonu pogłębionej refleksji na temat pośmiertnych losów twórcy. W aneksie do publikowanych wspomnień można przeczytać o perypetiach związanych z peregrynacją urny z prochami poety z Madrytu przez Londyn do rodzinnego Lublina.

Doktor Paweł Libera wyeksponował mało znane aspekty działalności Łobodowskiego, sytuujące go we właściwym miejscu w dziejach kultury polskiej. Uznanie zyskał jeszcze przed wojną, zdobywając w 1937 r. prestiżową „Nagrodę Młodych” Polskiej Akademii Literatury, choć w gronie konkurentów miał samego Czesława Miłosza. Mało kto o tym pamięta, podobnie niewiele osób wie o jego twórczości powieściopisarskiej i znakomitych tłumaczeniach literatury rosyjskiej.

Uczestnicy spotkania mieli okazję bezpośrednio zapoznać się z wybranymi wątkami twórczości

Łobodowskiego, wysłuchując fragmentów wspomnień oraz wierszy w interpretacji Olgierda Łukaszewicza.

Wspomnienia Józefa Łobodowskiego dotyczą wielu tematów i wbrew tytułowi, sugerującemu autobiografię, są zbiorowym portretem polskiego środowiska literackiego w okresie międzywojennym. Obracał się on w kręgu znanych i wielkich, takich jak: Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński, Władysław Broniewski, Konstanty Ildefons Gałczyński, ale pisał też o tych mniej znanych lub całkiem zapomnianych, jak: Józef Czechowicz, Stanisław Piętań czy Bronisław Michalski, kreśląc ich sylwetki w słowach ciepłych, choć przesyconych gorzką ironią.

Godny odnotowania jest nurt katastrofizmu, któremu w latach 30. hołdował wraz z dużą częścią środowiska. Cytowane w książce utwory – posępne i profetyczne – zrodziły się z przecucia wojennej pożogi, którą zwiastują choćby słowa wiersza Łobodowskiego, napisane w 1934 r., a więc na pięć lat przed tragicznym Wrześniem:

*Nad wrzawą słów i pulków tupotem głuchym
Szeroka i krwawa luna wyrasta...*

Ważnym wątkiem obecnym w książce jest rozrachunek z komunizmem, szczególnie wyraźny w tekstach dołączonych do wspomnień przez wydawcę, a publikowanych jeszcze przed wojną w „Wiadomościach Literackich”. Łobodowski celnie wypunktował w nich to, co stanowi o istocie komunizmu: – *Jak tu gadać z ludźmi, dla których dyscyplina partyjna jest synonimem ślepego posłuszeństwa, w każdym odchyleniu od przyjętego wzorca widzą złośliwą herezję, w każdej poprawce do oficjalnego projektu wężą zbrodniczą rękę.*

Łobodowski zarzucał komunistom dogmatyzm, skutkujący skrajnie uproszczoną wizją rzeczywistości: *Ortodoksyjni partyjniacy chcą życie ludzkie bez reszty wpakować w ciasne ramy walki klasowej.* W efekcie już w latach trzydziestych uznał, że *marxizm* [pisownia oryginalna], *jako pogląd na świat, zmumifikował się i usechł.*

Taki ostry i przenikliwy w ocenie pozostał do końca, ponosząc tego konsekwencje. W kraju lansowano twórców często niższej rangi, Łobodowski w oficjalnym obiegu nie istniał i bardzo nad tym bolał. Jako człowiek z natury bezkompromisowy wybrał jednak emigrację, gdyż była ona dla niego równoznaczna z zachowaniem duchowej suwerenności. Jednocześnie tęsknił do Polski. Jego nostalgię wyraża m.in. wiersz „Na własną śmierć”, który tego wieczoru zabrzmiał w wykonaniu Olgierda Łukaszewicza:

*Na obcej ziemi boję się umierać.
Bez lęku spotkam śmierć ojczystą,
śmierć na ziemi, co mych prochów nie rozgubi.
Tam się oddam szeleszczącym liściom,
zamienię się w goryczkę i lubin...
Żeby mi lubelskie, cmentarne słowiki
zanosily się co noc miłosnym krzykiem;
żebym wiedział w ciepłą utulony borowinę,
żem jest dla niej nie przybłądą, nie gościem
lecz synem (...)*

Józef Łobodowski zmarł w Madrycie 18 kwietnia 1988 r. Sześć miesięcy później urna z jego prochami spoczęła w grobie matki i dziadka na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie. ■



Wśród gości licznie przybyłych na promocję książki był m.in. poseł Mirosław Koźlakiewicz i szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Jan Stanisław Ciechanowski. FOT. ARTUR KAMIŃSKI

ORSZA | ZAPOMNIANA WIKTORIA?

Wbrew potocznej przyjętej w naszym kraju opinii o „złotym wieku Jagiellonów”, początek XVI stulecia zastał monarchię polsko-litewską na jej wschodnich rubieżach w zupełnym odwrocie: trwająca od kilkadziesiąt lat rywalizacja z Moskwą przynosiła jej niemal wyłącznie porażki, owocujące potężnymi stratami terytorialnymi.

Na przestrzeni półwiecza władztwo litewskie na ogromnych przestrzeniach Europy Wschodniej zostało niemal całkowicie zakwestionowane: w czasach Witoldowych forpoczty litewskie sięgały po Możajsk, Dorohobuż oraz Wiaźmę i obejmowały górny bieg Oki, ale już u schyłku panowania Kazimierza Jagiellończyka w ręce władców moskiewskich przeszła całkowita kontrola nad tradycyjnymi sojusznikami Wilna – Twerem i Riazaniem, nad jego dawnymi hołdownikami – Nowogrodem Wielkim i Pskowem, zaś wielki książ Iwan III (skądinąd jeden z najwybitniejszych monarchów swej epoki) uporawszy się ostatecznie z zagrożeniem tatarskim, śmiało sięgał po kolejne wschodnie prowincje monarchii jagiellońskiej, powołując się na testament Rurykowiczów i głosząc program „zbierania ziem ruskich”.

Ambicje nowego pretendenta do panowania nad „całą Rusią” przez długi – stanowczo zbyt długi! – czas uchodziły uwadze Jagiellonów, zapatrzonych w iluzoryczną wizję wielkiego rodzinnego mocarstwa, mogącego konkurować z samymi Habsbur-



HIERONIM GRAŁA



„Bitwa pod Orszą” – obraz anonimowego malarza (zapewne przełom lat 30. i 40. XVI w.)
FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

gami. Wprawdzie przedstawiciele dynastii sięgnęli po trony Czech i Węgier, ale zazwyczaj następowało to w wyniku bratobójczej rywalizacji między przedstawicielami tego samego rodu, ba – synami jednego ojca, wspomnianego już Kazimierza Jagiellończyka.... W istocie rzeczy pozostające pod rządami Kazimierzowiczów państwa nigdy nie prowadziły jednolitej polityki zagranicznej i nie kierowały się wspólnym interesem: nic w tym dziwnego, skoro współdziałania brakowało nawet między połączonymi unią dynastyczną Koroną i Wielkim Księstwem Litewskim. Snuto zatem marzenia o „pax Jagellonica”, rojono o krucjacie mającej wyprzeć Turków z Europy, trwoniono

siły w jałowych próbach opanowania Mołdawii i Wołoszczyzny, nie mogąc sobie równocześnie poradzić z zakonem niemieckim i najazdami tatarskimi, a tymczasem pułki moskiewskie konsekwentnie i niepowstrzymanie parły na zachód. Środki dyplomatyczne (małżeństwo Aleksandra Jagiellończyka z Heleną, córką Iwana III) okazały się mało skuteczne w konfrontacji z moskiewską Realpolitik, a co gorsza dostarczyły tylko nowego pretekstu do agresji: oto władca moskiewski począł się ujmować za uciśnioną jakoby w swych religijnych przekonaniach latoroślą Rurykowiczów, a przy okazji także za wszystkimi pozostałymi wyznawcami „wiarę greckiej” hurtem....



Zygmunt I Stary

Brutalne otrzeźwienie

Otrzeźwienie przyszło stosunkowo późno i było wielce brutalne. Oto 14 lipca 1500 r. armia litewska przegrała z kretesem walną batalię nad rzeką Wiedroszą. W ręce moskiewskich wojewodów wpadło całe dowództwo litewskie z hetmanem –

kniaziem Konstantym Ostrogskim na czele, zaś jego podkomendni zaszli pole własnymi ciałami bądź poszli w pęta. W toku działań wojennych w ręce Rosjan przeszły niebawem ziemie czernihowsko-siewierskie, część Smoleńszczyzny oraz spore obszary nad Dryszą i Dźwiną (19 miast!), zaś nowa granica – ustalona w wyniku rozejmu w 1503 r. – zapewniała Moskwie w przypadku kolejnej wojny znakomitą podstawę do działań na kierunku smoleńskim i kijowskim, a nawet dość łatwy dostęp do stołecznego Wilna.

Zgodnie z oczekiwaniem, 6-letni rozejm nie został dochowany przez żadną ze stron, ale do kolejnego konfliktu znów lepiej przygotowana okazała się Moskwa. Wiosną 1507 r.

najazd moskiewski spadł na litewskie pogranicze, dochodząc do Smoleńska i Berezyny. W roku następnym sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej wobec zdrady kniazia Michała Glińskiego, niegdyś faworyta Aleksandra Jagiellończyka i pogromcy Tatarów spod Klecka (1506). Jego rewolta zagroziła niebawem oderwaniem od Wielkiego Księstwa całej Kijowszczyzny, zaś bezkarne zagony moskiewskie jęły pustoszyć samo jądro państwa litewskiego, docierając do Nowogródka i Oszmiany (45 km od stołecznego Wilna!).

W obliczu tak wielkiego niebezpieczeństwa Korona, dotychczas dyszansująca się od wojny na wschodzie (pamiętajmy, iż wcześniej Litwa nie uczestniczyła w większości wojen polskich, w tym w wojnie 13-letniej z zakonem krzyżackim!), zdecydowała się udzielić wsparcia Wielkiemu Księstwu. Zebrane naprędce siły – chorągwie nadworne pod hetmanem Mikołajem Firlejem i rzesza polskich ochotników – ruszyły bezwzględnie nad Dniepr ratować zagrożony byt wspólnego przecież państwa.

Pierwsza konfrontacja aliantów z armią moskiewską wypadła wielce obiecująco: w obecności samego króla Zygmunta I armia polsko-litewska pobiła przeważające siły moskiewskie pod Orszą (18 lipca 1508), zaś hetman Ostrogski, który niedawno zbiegł z niewoli moskiewskiej, zdołał wreszcie powetować sobie porażkę znad Wiedroszy. Ważniejsze od doraźnego sukcesu taktycznego i odrzucenia przeważających sił wroga od linii Dniepru, okazało się doświadczenie współdziałania dwóch różnych armii: tradycyjnej (tkwiącej jeszcze w średniowieczu) wojskowości litewskiej i znacznie bardziej zaawansowanej technologicznie, nasyconej artylerią i piechotą, a także znacznie lepiej wyekwipowanej i odwołującej się do usług zaciężnych zawodowców, polskiej wojskowości renesansowej.

Siedem lat później, nieomal w tym samym miejscu, lekcja ta miała zrodzić wspaniałe owoce.

Upadek Smoleńska

Wojna z lat 1507–1508 nie przyniosła wprawdzie Litwie kolejnych strat terytorialnych, ale też nie oznaczała wcale powściągnięcia apetytów groźnego sąsiada. Kolejny etap „zbierania ziem ruskich” nastąpił już niebawem – w grudniu 1512 r., łamiąc zawarty niedawno „pokój wieczysty”, wielki książę Wasyl III ruszył na Smoleńsk. Pierwsze oblężenie tej ważnej i dobrze zaopatrzonej pogranicznej warowni (I–II 1513), podobnie jak drugie (lato–jesień 1513) zakończyło się niepowodzeniem, mimo iż armia moskiewska była tym razem znakomicie wyekwipowana, zwłaszcza pod względem stanu swego parku artyleryjskiego, przygotowanego przez użytych Wasylowi III przez zaprzyjaźniony dwór habsburski ludwisarzy i puszkarzy.

Ostatecznie, mimo stosunkowo nikłych postępów prac oblężniczych, twierdza padła w lipcu 1514 r. podczas trzeciej wyprawy Wasyla III. „Wrota do Litwy” otworzył jednak moskiewskiemu gosodarowi nie celny ogień najemnych artylerzystów, ale zdrada miejscowej ludności, skaptowanej przez niestrudzonego intryganta Glińskiego, i to w momencie, gdy wielki książę na wieść o nadciągającej armii Zygmunta I skłaniał się już do odwrotu.... Po blisko 110 latach rządów jagiellońskich, twierdza, która dotąd wytrzymała fortunnie sześć oblężeń i która stanowiła swoiste zawiasy frontu litewskiego na rubieży dniewskiej, wpadła w ręce wroga. Moskwa uzyskiwała tym samym znakomitą bazę operacyjną już nie tylko przeciw prowincjom pogranicznym, ale także przeciw samemu sercu państwowości litewskiej. Dodajmy, iż mimo wysiłków kilku pokoleń polskich władców udało się ją odzyskać dopiero

podczas Wielkiej Smuty (1611), aczkolwiek nie na długo: zdobyta przez wojska cara Aleksego Michajłowicza w roku 1654, stała się częścią państwa rosyjskiego już na zawsze.

Odsiecz

Upadek Smoleńska otrzeźwił zarówno Litwinów, zbierających się do odsieczy wielce ślamazarnie (kon-



Orzeł jagielloński z monogramem króla Zygmunta I na piersi – Kaplica Zyguntowska na Wawelu

centracja armii – pospolitego ruszenia i wojsk zaciężnych – trwała ponad 4 miesiące), jak i dwór królewski oraz elitę koronną. Bez wątpienia miał na to wpływ europejski rozgłos związany z upadkiem potężnej twierdzy, aktywizujący wcale licznych wrogów domu jagiellońskiego: cesarz Maksymilian I już wcześniej zawarł z władcą Moskwy pakt zaczepno-odporny (misja Georga Schnitzenpaumera) mający stać się rdzeniem szerokiej ligi antyjagiellońskiej z udziałem Prus, Danii i Mołdawii, której działania musiałyby zagrozić integralności terytorialnej monarchii polsko-litewskiej. A przecież jeszcze wiosną tegoż roku posłujący w imieniu Litwy na sejm piotrkowski Aleksander Chodkiewicz (sam wszak prawosławny!) wołał w swym dramatycznym apelu do stanów koronnych o pomoc dla Smoleńska jako „bramy całego chrześcijaństwa”.

Znów zatem pośpieszyły nad Dniepr polskie rotty, nadworne i zaciężne, dowodzone przez Wojciecha Sempolińskiego i kasztelana bieckiego Janusza Świerczowskiego,

a był to kwiat polskiej armii. Szły w sukurs Litwinom także ochotnicze poczty polskich możnowładców: Tęczyńskich, Tarnowskich, Kmitów, Pileckich, Zborowskich, Ostrorogów: idea jagiellońskiej wspólnoty, podobnie jak przed wiekiem na polach grunwaldzkich, miała być przypieczętowana wspólnie przelaną krwią.



Sztandar polski – fragment obrazu „Bitwa pod Orszą” FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

Mobilizacyjny wysiłek był tym razem imponujący. Na wroga ciągnęła armia liczna (co najmniej 15–20 tys. żołnierzy, przy czym lwia część sił połączonych stanowiły kontyngenty polskie!), świetnie wyekwipowana (znakomita piechota zaciężna, liczna artyleria, ciężkozbrojna jazda), złożona ze starych wyjadaczy i dowodzona przez zawodowców. Armii towarzyszył również sam król, który wszelako zdecydował się pozostać z 4-tysięcznym korpusem osłonowym w Borysowie, podczas gdy gros wojsk kontynuowało pod wodzą litewskich hetmanów – Konstantego Ostrogskiego i Jerzego Radziwiłła – oraz polskich dowódców pochód ku utraconemu niedawno Smoleńskowi.

Wieść o spóźnionej odsieczy zaalarmowała Wasyla III, który zdecydował się pozostać w zdobytym Smoleńsku, zatrzymując przy sobie część sił, zaś zadanie powstrzymania jagiellońskiej rekonkwisty przypadło operującym w polu korpusom wojewodów Iwana Czeladnina i Michała Bułgakowa-Golicy (skądinąd Gedyminowicza), reprezentujących

zapewne zbliżony do nadciągającej armii polsko-litewskiej poziom liczebności, ale złożonych wyłącznie z jazdy.

Po kilku mniejszych i większych potyczkach, w których szczęście niezmiennie sprzyjało pułkom jagiellońskim, obie armie spotkały się wreszcie 7 września 1514 r. pod Orszą, w miejscu dobrze znanym litew-



Sztandar moskiewski – fragment obrazu „Bitwa pod Orszą” FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE



Konstanty Iwanowicz Ostrogski – XVIII-wieczna kopia portretu z galerii Radziwiłłowskiej w Nieświeżu FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM NARODOWEGO W MINSKU

skim dowódcą jeszcze z 1508 r. Obie armie szykowały się do generalnej bitwy, ufne we wsparcie Niebios, była to bowiem wigilia Narodzin Najświętszej Maryi Panny, święto szczególnie ważne zarówno dla jagiellońskich poddanych obu rządów, jak i dla Moskwićinów (dla tych ostatnich była to również rocznica zwycięstwa na Kulikowym Polu w 1380 r., które zapoczątkowa-

ło zrzucenie mongolskiego jarzma).

Początek batalii dowiódł niebawalnych umiejętności inżynierskich podkomendnych Ostrogskiego: oto armia królewska błyskawicznie przeszła Dniepr po zaimprovizowanym moście „z czołen i kłód” (było to dzieło żywieckiego mieszczanina Jana Baszty), podczas gdy uwagę osłonowych oddziałów moskiewskich ściągnęły na siebie harcujące u brodu lekkobrojne chorągwie litewskie. Wkrótce na osłaniany przez ciężkozbrojną polską jazdę przyczółek ściągnęła również litewska konnica i piechota z artylerią: ugrupowanie wojsk jagiellońskich było dostatecznie głębokie i zwarte, a przy tym (wzorowe rozpoznanie terenu!) znakomicie wykorzystywało rzeźbę terenu: wąwóz Ruklino, wraz z sąsiednim zagajnikiem, stał się miejscem ogniowej pułapki na wroga, przygotowanej z rozmysłem, pod osłoną pieszych rot, co kompensowało w pewnym sensie niełatwe położenie wojsk jagiellońskich, mających za plecami nurt dnieprowy. Nie można również wykluczyć, iż karygodna bierność moskiewskich wojewodów to owoc rozmyślnych działań, wszak plan wciągnięcia wojsk przeciwnika na „swoj” brzeg rzeki, a następnie zepchnięcie do rzeki poprzez potężne uderzenia oskrzydlające, nawiązuje w swej prostocie do pamiętnego manewru znad Wiedroszy. Jeżeli tak było rzeczywiście, to dowództwo moskiewskie zignorowało dwie przynajmniej fundamentalne okoliczności: Konstanty Ostrogski wiele się nauczył od owej porażki (a dodatkowo wspierali go obecnie radą fachowcy co się zowie), zaś stosunek liczebny obu armii utrudniał realizację tak nieskomplikowanego manewru, którego istotą w 1500 r. była wszak przygniatająca przewaga liczebna ze strony Moskwićinów. Poza tym, inaczej niż w przypadku poprzedniej batalii, wyłącznie kawaleryjskiej, polsko-litewski front miał tym razem stabilizować

„lud ognisty” i zaprawiona w bojach obronnych piechota.

Triumf pod Orszą

Bitwę rozpoczął rankiem 8 września moskiewski pułk prawej ręki, potężnie napierając na lewe skrzydło sprzymierzonych. Niebawem sytuacja stała się na tyle krytyczna, iż interweniować musiała ciężkozbrojna polska jazda, odrzucając wykrwawioną już konnicę Bułgakowa-Golicy. Wkrótce główny bój rozgorzał w centrum: wiążąc usytuowane tam oddziały przeciwnika, Czelaadnin pchnął do walki swój pułk straży przedniej, a równocześnie – widząc fiasko operacji na lewym skrzydle – zdecydował się zastosować manewr oskrzydlający z prawej flanki, na którą spadło uderzenie dowodzonego przez kniazia Iwana Prońskiego pułku lewej ręki. W tym krytycznym zdawałoby się momencie mechanizm tak pieczołowicie przygotowywanej przez jagiellońskich dowódców pułapki zadziałał, i to znakomicie: uchodzący jakoby przed wrogiem podkomendni Radziwiłła podprowadzili moskiewską konnicę wprost pod lufy armat, hakownic i rusznic, zaś na wstrząśniętych tym rżęsiwym ostrzałem jeźdźców spadła szarża „żelaznobokich” jeźdźców Świerczowskiego. Moskwićini rozpoczęli paniczny odwrót, wpadając na główne ugrupowanie wojsk gosudarskich – pułk wielki i mieszając jego szyki. Podjęta przez Czelaadnina rozpaczliwa próba odwrócenia losów bitwy poprzez wprowadzenie do boju ostatniego już odwodu – pułku straży tylnej – załamała się w zderzeniu z szarżą połączonych chorągwi Ostrogskiego, Świerczowskiego i Radziwiłła pod Pugajłowem, bodaj największym starciu kawaleryjskim tej batalii.

Pokonany pozostał już tylko chaotyczny odwrót, który dość szybko zamienił się w paniczną ucieczkę. Dla wielu uchodzących z pola Moskwićinów śmiertelną przeszko-

dą okazały się nurty niewielkiej rzeczki Kropiwny (5 km od Orszy), której bagniste brzegi stać się miały grobem niemałej części doborowych wszak kontyngentów rosyjskiej jazdy.

Przed zapadnięciem zmroku było po wszystkim. Armia moskiewska została doszczętnie rozbita, spora część jej wojowników padła na polu bitwy lub poszła w litewskie pęta, ci zaś, którym dane było ująć całość, gnali co koń wyskoczy pod ochronę murów smoleńskiej twierdzy. W ręce zwycięzców poszło nieomal całe dowództwo wojsk moskiewskich z Czeladninem i Bułgakowem-Golicą na czele (wyjąwszy oczywiście tych wojewodów, którzy padli w boju), kilkuset „nobilów” i trudna do oszacowania rzesza prostych wojowników, których zresztą rozdano niebawem wśród zwycięzców, całość obóz, wielkie stada koni...

Ostrogski zachował się wobec pokonanych z łagodnością godną Cezara: *nazajutrz po bitwie częstował i, rycerską pociechę w nieszczerściu im serca dodawając, łaski królewskiej nadzieje czynił...* Szkoda tylko, iż zamiast z Achillesa, nie wziął przykładu z Odyseusza: natychmiastowy pościg za uchodzącym wrogiem dawał bowiem szansę na wjechanie na jego karkach do Smoleńska, gdzie pod wpływem napływających wraz z uciekinierami wieści o rozmiarach klęski, śmiało podniosło głowę stronnictwo prolitewskie pod wodzą miejscowego prawosławnego biskupa. Panika była zresztą tak wielka, iż rejterował się bezzwłocznie sam Wasyl III, skądinąd nigdy nieodznaczający się nadmiernym męstwem, uchodząc pospiesznym marszem ku stołecznej Moskwie. Kilkudniowa zwłoka pozwoliła wszelako dowodzącemu smoleńskim garnizonem kniaziowi Wasylowi Szujskiemu opanować panikę, a przy okazji zlikwidować pro-jagiellońską irredentę. Gdy zatem zwycięskie pułki Ostrogskiego do-

tarły pod Smoleńsk, zastały sytuację całkowicie opanowaną, zaś gród świetnie przygotowany do obrony. Szturm zakończył się krwawą łaźnią dla oblegających, zaś w obliczu nadciągających jesiennych chłódów rychło przyszło Ostrogskiemu zarzucić wszelkie nadzieje na opanowanie twierdzy i zarządzić odwrót, który zresztą okupiony został niemałymi stratami. Wygrana bitwa nie zaowocowała zatem ostatecznym zwycięstwem w całej wojnie, chociaż w jej następstwie oczyszczono z wrażeń wojsk pogranicze i odzyskano kilka ważnych zamków, powstrzymała wszelako na wiele dziesięcioleci potężniejszy od dłuższego już czasu napór Moskwy na wschodnie rubieże monarchii jagiellońskiej. Co więcej, katastrofa orszańska poprzez utratę najlepszych kontyngentów wojskowych, których odtworzenie wymagało wieloletnich wysiłków, na tyle wstrząsnęła rosyjską machiną wojenną, iż odtąd tendencją wiodącą w działaniach wojsk moskiewskich stanie się unikanie walnej bitwy.

Dyplomacja jagiellońska przypuszcza atak

Skutki militarne i polityczne „wielkiej bitwy” należy wszakże rozdzielić, nie dziwiąc się przy tym specjalnie, iż zwycięstwo tak spektakularne powitane zostało przez dwór jagielloński z niebywałym entuzjazmem. Wiktoria nie przyniosła wprawdzie wymiernych korzyści strategicznych, bo Smoleńsk – klucz do przepraw dniewprowych – pozostał w rękach Wasyla III, dostarczyła jednakże ważkich argumentów w podjętej z bezprzykładnym rozmachem ofensywie propagandowej. Wymagał tego nadszarpnięty niedawnymi klęskami prestiż domu jagiellońskiego, a zwłaszcza śmiertelnie niebezpieczna dla monarchii polsko-litewskiej groźba sojuszu habsbursko-moskiewskiego. Uzyskawszy zatem tak znakomity atut, dyplomacja jagiellońska bezzwłocznie przystąpiła

do energicznej kontrakcji, dosłownie zarzucając dwory europejskie – zarówno te sojusznicze, jak i wrogie – obszernymi doniesieniami o bezprzykładnym tryumfie nad „Moscowitami”.

Skuteczność dyplomatycznej i propagandowej ofensywy dworu jagiellońskiego rychło znalazła potwierdzenie podczas jagiellońsko-habsburskich rokowań pożońsko-wiedeńskich 1515 r. Cesarz Maksymi-



Pieczęć wielkich książąt moskiewskich
FOT. ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH, WARSZAWA

lian I uznał wreszcie przynależność Prus Królewskich do państwa polskiego, zaś ceną podwójnego małżeństwa dynastycznego jego wnuków z Jagiellonami (co prawda otwierającego Habsburgom widoki na trony Czech i Węgier) stało się ostateczne pogrzebanie planów sojuszu Wiednia i Moskwy.

Wspomniane działania Zygmunto-wskiej propagandy rozwijały się w dwóch kierunkach: z jednej strony obliczone były na zdezawuowanie wiary dworu cesarskiego oraz jego sprzymierzeńców w korzyści płynące z sojuszu z pogromionym właśnie „barbarzyńcą”, z drugiej – na ekspozycję własnej potęgi i wytworzenie na europejskich dworach klimatu życzliwości wobec monarchy, ratującego świat łaciński przed inwazją „wrogów Świętego Kościoła Rzymskiego”. Wątek religijny zajmował w poczynaniach jagiellońskiej dyplomacji miejsce kluczowe: w liście do papieża Leona X zwycięski król sam uznał za stosowne wskazać

okoliczności poświadczające interwencję Opatrzności – oto schizmatyków pobito w święto Narodzin Bogurodzicy, a zatem przy niewątpliwej instancji samej Maryi! Wobec takich dowodów przychylności Niebios Litwa aspirowała do roli przedmurza chrześcijaństwa, zaś jej władca jawił się zapaśnikiem Bożym, powstrzymującym w pojedynkę zatwardziałych i nieubłaganych wrogów religii katolickiej. Odzew przeszedł



Н о м о л и к ш а п е л и к а г о к и н с л и о е в о в л и к о
 р о л е в ы в с е п ш д ы . и н а т о м к о н о п о р и
 х о м ь в л а ш и м ь в е л и к а г о к и н с л и о е в о в л и к о
 к н ь с м и х а и л и п л а н о и н к о у л а г а к о в д л я
 с ф о с н с х м и п р е к о у л а г а к о в . м и н с ь
 н и л ь д м и т р е с и п р о в ь к о н . д л и ш ь
 з и д р ь е ш и т ь ч е л д ь н и н ь и н ь с е в о е ш
 д ы п ь г р е х о к о р л е в ы д и т о в е к и л ь д ь а р о у
 к и п o л л и . и н ь y г ь д е т ь в о а r e i c ь м o c k o
 к с i e z e m л и . и н о п o r o в ь к и e z e m л и н ь з ы м и ш .

Rzeź pułków moskiewskich i niewola ich dowódców – miniatura z tzw. Szumiłowskiego tomu Iluminowanej Kroniki Iwana IV Groźnego
 FOT. ZE ZBIORÓW ROSYJSKIEJ BIBLIOTEKI NARODOWEJ, SAINT PETERSBURG

najśmielsze oczekiwania: papież – wspierający dotychczas antyjagiellońską politykę Maksymiliana I – ogłosił odpust i uznał monarchię jagiellońską za „przedmurze chrześcijaństwa” (antemurale christianitatis).

Poczesne miejsce w polskich działaniach propagandowych zajęła literatura. Oficyny krakowskie jeszcze w 1514 r. zdążyły wydrukować oko-

licznościowe utwory A. Krzyckiego, K. Suchtena, W. Ecka i J. Dantyska; wszystkie te łacińskojęzyczne dzieła weszły następnie w skład wydanego w Rzymie tomu „Carmina de memorabili caede scismaticorum Moscoviorum” (1515), który wzbogaciły również nowe – zapewne specjalnie w tym celu zamówione – utwory B. Wąpowskiego, T. Andronika oraz J. Pisona. Odrębną kategorię materiałów propagandowych, wykorzystywanych przez dyplomację Zygmuntofską, stanowiły drukowane w Krakowie, Rzymie, Norymberdze i Lipsku broszury oraz druki ulotne – łacińskie i niemieckojęzyczne, by zapewnić im ogólnoeuropejski zasięg. Symptomatyczne, iż wspomniane druki, występujące niekiedy w kilku mutacjach, stanowią w istocie pierwszy przejaw wykorzystania materiałów „prasowych” przez polsko-litewskie służby dyplomatyczne.

Egzemplifikację tryumfu stanowią sami jeńcy, wyekspediovani na dwory europejskie i do Rzymu wraz z wiozącymi wspomniane posłania legatami. „Żywe trofea” zaprezentowano również przebywającym w Wilnie wysłannikom zakonu niemieckiego. Znaczenie propagandowe całej akcji doskonale rozumiał sam Zygmunt I, wyczerpująco instruując swego ambasadora w Rzymie – arcybp. Jana Łaskiego, co zaowocowało zorganizowanym w Wiecznym Mieście renesansowym tryumfem! Dodajmy, iż sam król również odprawił w stołecznym Wilnie tryumf tak okazały, iż papieski legat Pison odnotował, że nigdy wcześniej nie widział tak pompatycznego pochodu.

Niebanalną rolę w wykreowaniu wizerunku bitwy orszańskiej jako wielkiej wiktarii odegrały także różnorodne fundacje i upamiętnienia. Zwycięski hetman, książę Konstanty Ostrogski, nie tylko odprawił iście rzymski tryumf w stołecznym Wilnie (ingres przez Ostrą Bramę), ale także otrzymał – wbrew istniejącym

na Litwie ograniczeniom prawnym – przywilej monarszy na wzniesienie dwóch murowanych cerkwi w stołecznym Wilnie. Akt ten, niezależnie od zamiaru ukontentowania samego hetmana, posiadał konkretny wymiar polityczny: wotywnie budowle miały dowodzić jedności wyznawców prawosławia i katolicyzmu w monarchii jagiellońskiej w walce ze wspólnym wrogiem – nie darmo „schizmatyk” Ostrogski zaskarbił sobie wówczas wśród humanistów krakowskich wdzięczny przydomek „ruskiego Scypiona”. Godne uwagi, iż zdobyte przezeń znamię wroga trafiły do świątyń katolickich: większość do katedry wileńskiej, gdzie zawieszono je obok relikwii św. Stanisława, inne na Jasną Górę. Skala wysiłku dyplomacji jagiellońskiej w latach 1514–1515 oraz ocena jego skutków propagandowych pozwala zatem zestawzić przypadek Orszy z dwoma innymi wielkimi orężnymi tryumfami państwowości polsko-litewskiej, nader umiejętnie wykorzystanymi dla doraźnych celów politycznych – Grunwaldem (1410) i Wiedniem (1683).

Niestety, potęgująca się w zastraszającym tempie nieznanomość dziejów ojczystych oraz nagminne – mocno wybiórcze! – wykorzystywanie kolejnych rocznic dla doraźnych celów tzw. polityki historycznej sprawia, iż pamięć o tym wielkim tryumfie pozostawiliśmy w roku jubileuszowym naszym sąsiadom i niegdysiejszym sprzymierzeńcom (obchody 500-lecia Orszy celebrowane były onegdaj w Wilnie z istic jagiellońskim rozmachem), a nawet adwersarzom(!), zapominając całkowicie – poza nielicznymi środowiskami i instytucjami – o wielkim tryumfie polskiego oręza, któremu towarzyszył podziw i szacunek całej Europy, a także o niemalej daninie krwi złożonej na polach nad Dnieprem i Kropiwną przez naszych przodków na ołtarzu polsko-litewskiej unii... ■

